Numer 5. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 29 Stycznia 1933



Kraków, ulica św. Tomasza L. 30

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Zemścił się.

Pewien dżentelman z niechęcią ustępuje miejsca damie w tramwaju.

— Dziękuję panu serdecznie — rzecze dama.

— O, niema zaco! Mężczyzna powinien zawsze robić miejsce kobiecie. Niektórzy to czynią wprawdzie wobec młodych i ładnych, ale ja nie uznaję tej różnicy w tramwaju.

Szczyt roztargnienia.

Pani profesorowa: A czy wiesz, że dziś właśnie mija dziesięć lat od chwili, kiedyśmy się zaręczyli?

Profesor: Naprawdę? Ależ dlaczego mi tego nie przypomniałaś; toć chyba już najwyższy czas, żebyśmy się pobrali!

Ciekawa złuda.

— Kiedy mam zepsuty żołądek, wydaje mi się, że jestem miljonerem.

— Jak?

— No, bo i miljoner niczego jeść nie może, gdy ma zepsuty żołądek.

I to prawda.

Głupi był ten, kto wymyślił przysłowie, że „wszystko, co wzniosło się w górę, musi z czasem spaść na dół". Widocznie nie znał się wcale na podatkach.

W szkole.

Nauczyciel: Co leży dalej, Anglja czy księżyc?

Uczeń: Anglja.

Nauczyciel: Anglja? Dlaczego?

Uczeń: Ponieważ księżyc możemy widzieć, ale nie możemy Anglji.

Dowiedziała się.

— O co płaczesz Kasiu? — spytała baronowa Goldfingerhutowa, gdy weszła do kuchni.

Kasia nic się nie odzywa, tylko płacze.

Baronowa: Czy ci może Kasiu jasny pan baron co powiedział?

Kasia nic nie odpowiada.

— To może ci jasna panienka baronówna co powiedziała?

Kasia ramionami wzruszyła.

— To może ci jasny panicz co powiedział?

A Kasia wtedy głośno wybuchła: Nikt mi nic nie powiedział, tylko się ze mnie ludzie śmieją, że u takiego parcha służę!

Wytłumaczył na swój sposób.

Kapral do rekruta: Czem byliście w cywilu?

— Mineralogiem — odpowiada rekrut.

Kapral: Co mi tam będziecie głowę zawracać! Powiedzcie krótko: Byliście fabrykantem wody mineralnej i basta.

Numer 5. Rok XVI. Kraków, dnia 29 Stycznia 1933.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1933: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.201. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868

„Nie mam czasu!“

Codziennie kilkakrotnie odbija się o uszy nasze to zdanie we wszystkich odmianach: »Nie mam czasu!« Tak, każdego dnia używamy tej wymówki dla usprawiedliwienia się lub wymówienia od jakiegoś niemiłego czasem zadania. Ale jakżeż nieraz później żałujemy tego, że na to lub owo „nie mieliśmy czasu“. Lecz, jak to mówią, trudno po śmierci za grzechy żałować, bo wówczas rzecz, zlekceważona przez rzekomy brak czasu już się odrobić nie da.

Żona dla męża i odwrotnie powinni zawsze mieć czas. Niestety, często dzieje się przeciwnie i niejedno małżeństwo przez to stało się nieszczęśliwe. Kobieta znajdzie zawsze czas na strojenie się, na pogadanki z kumoszkami i t. p., ale nieraz brak chwilki, aby pomówić z mężem o domowych sprawach, o dzieciach i t. p., a często nawet z powodu rzekomego braku czasu odmawia mu odrobiny pieszczot, za któremi przecież każdy mężczyzna tęskni. Taka nie ma również czasu dla dzieci. Rosną biedne, pozostawione sobie samym i złym przykładom po ulicach i na polach. Ileż to razy zdarza się, że dziecko przyjdzie do matki po jakąś radę, często dla niego bardzo pożyteczną, a matka ofuknie je, mówiąc: „Daj mi spokój, nie mam czasu!“ Zniechęcone dziecko raz i drugi nie pyta więcej matki, a wówczas w wielu rzeczach uświadamiają je źli towarzysze lub towarzyszki pracy czy zabaw. Ale ta sama matka miała czas, aby cztery godziny spędzić na bajkach z kumoszkami.

Niejeden ojciec rodziny nie lepiej postępuje. Zmuszony wiele godzin przebywać poza domem, wolny czas woli przepędzać na różnych bezmyślnych rozrywkach, a dla najbliższych nigdy nie ma czasu. Gorzko to odczuwają żona i dzieci. A on jakże ciężko odczuć może, że nie miał czasu, ażeby niejednokrotnie zapobiec może jakiemu nieszczęściu.

Pani domu czy to ta w mieście, czy w chatce wiejskiej, chociażby miała bardzo wiele zajęcia w domu, powinna znaleźć chociaż jedną godzinę w ciągu dnia, w której mogłaby się poświęcić własnemu kształceniu przez czytanie pożytecznych gazet lub książek, bo przecież i duch potrzebuje pożywienia. Jeżeli nie ma rzeczywiście czasu na czytanie książek, to niech przynajmniej czyta jaką pożyteczną gazetkę tygodniową, w której znaleźć można zawsze zajmujące powieści, przeróżne artykuły o bieżących sprawach świata i t. d. Im żona posiędzie więcej wiadomości, tem stanie się milszą i swemu małżonkowi, bo przecież każdy woli mieć do czynienia z istotą inteligentną, aniżeli z tłumokiem, choćby najurodziwszym.

A i to trzeba wiedzieć, że każde słowo pożyteczne, przeczytane w książce czy gazetce, to grosz schowany do skarbonki na przyszłe lata.

Na szczęście jest już dość u nas tak kobiet, jak i mężczyzn, pracujących ciężko na kawałek chleba, którzy pomimo to na wszystko mają czas. A więc mają go i na pogadankę z żoną, względnie z mężem, mają go na pogwarkę z dziećmi i danie im odpowiedzi na wszystkie zapytania, ale, co jeszcze chwalebniejsze, mają go wystarczającą ilość na czytanie pożytecznych gazet, a nawet i obszerniejszych książek. Bo czas można na wszystko znaleźć, trzeba go tylko tak rozłożyć, aby on nie upływał bezużytecznie, ale z korzyścią nietylko dla ciała, ale i dla duszy.

Pamiętać przytem należy, że dzieci nasze z nas przykład biorą, więc dbać o to winniśmy, aby i one nauczyły się mieć czas na wszystko, tak na naukę, jak i na zabawy, a będą go miały poddostatkiem, jeżeli czynności swe całego dnia tak rozłożą, aby ani jedna chwila w ich życiu nie poszła na marne.

Zdrada wojewody Wincza.

Powieść historyczna.

(Ciąg dalszy)

Siwiejący już, czynnego ciągle życia, wojak, myśliwy, Luder mimo wieku był jeszcze mężem wielkiej siły, powagi i rzeźwości do pracy. Choć starszyźnie krzyżackiej, która się teraz białemi płaszczami odznaczała, uboższych braci strojąc szaro, nie zbywało na mężach rycerskiej postawy, i warunkiem niemal przyjęcia do zakonu była siła fizyczna, — mistrz Luder, stanąwszy wśród swoich, pół głową ich przerastał, a zbroi jego bez kilku kaftanów, pod spód podłożonych, żadenby z braci nie wdział na siebie.

Twarz też miał jakby do rozkazywania stworzoną, oczyma, brwiami, wyrazem samym rozkazującą. Mówił mało, lecz gdy co rzekł, spierać się z nim nie było można. Wydawał wyroki i nie odwoływał ich nigdy.

Od śmierci Orselena, którego w chwili napaści na progu własnego mieszkania bronić nie było komu, postanowiono, by dwu rycerzy nieodstępnie wszędzie mistrzowi towarzyszyło. Wybrał sobie Luder na kompanów tych Konrada von Gartau i Ottona Dobner'a.

Właśnie z nimi razem zajmował izby, które dlań na zamku toruńskim przeznaczone były, gdy Dobner, który się był u drzwi nieco zatrzymał, szepnął mu, iż tu już nań oczekiwano.

Mistrz ledwie był z konia zsiadł i należał mu spoczynek, bo część nocy spędził w drodze; lecz posłyszawszy imię, które Dobner mu szepnął, wnet dał rozkaz, aby przybyłych do sąsiedniej izby wprowadzono.

W Toruniu jak w Malborgu na zamku, mieszkania składały się z dwojakiego rodzaju komnat. Wielkie i bardzo przestronne sale służyły dla zgromadzeń zakonnych i gościnnych stołów, do których często po sto i więcej osób zasiadało. Izby, w których pojedyńczy zakonnicy, nie wyjmując mistrza, komtura i dostojników, przemieszkiwali — były ciasne, małe, a dla samego ogrzewania łatwiejszego kominami — niebardzo przestronne. Były to niemal cele klasztorne.

I ta, w której Luder się przyodziewał, nie większą była od innych, lecz obok mała jadalnia kilkanaście osób mogła pomieścić. Widok z niej przez okno duże na Wisłę i przeciwne jej brzegi wychodził.

Tu w przeciwnym kącie, na ławie ze spuszczoną głową siedział stary mężczyzna, w stroju, po którym stan jego rozpoznać było trudno. Można było sądzić, iż się umyślnie przebrał tak, aby go nie poznano. Szare suknie, ale z sukna przedniego, nie miały nic, coby je odznaczać i oko mogło na nie zwrócić. Miecz krótki a szeroki, w pochwach czarnych, także się nie świecił ozdobami. Mimo to coś w tym człowieku znamionowało nawykłego do rozkazywania raczej, niż do posłuszeństwa.

Siedział i czekał, a samo oczekiwanie już krew burzyło: patrzał na drzwi, poruszał się niespokojnie, jakgdyby obrażało go to, że nie pośpieszono prędzej przeciwko niemu.

Był to wojewoda i wielkorządca poznański, Wincz z Pomorzan... On! u Krzyżaków. On oczekujący na mistrza, u drzwi jego... w ręku wrogów i ich mocy!

W duszy powtarzał to sobie szydersko, z goryczą, jakby sam nie wierząc temu, co z nim uczyniły losy.

Na towarzyszu jego, Petrku Kopie, pobyt na zamku toruńskim, tak wielkiego nie czynił wrażenia. Chodził on z wesołą twarzą po izbie, oknem wyglądał i wspaniałością gmachów, w których się znajdował, z przyjemnością napawać się zdawał. Na twarzy igrał uśmiech, jakby rad był, że wielką sprawę szczęśliwie doprowadził do końca.

Wincz milczał i wzdychał. Potrzebował ciągle przypominać sobie, co go spotkało, aby wytłumaczyć, co czyni i zagłuszyć sumienie.

Po chwili wyczekiwania, która mu się nad miarę długą wydawała, otwarły się wreszcie drzwi, i mistrz Luder w białej sukni, bez miecza, odziany po domowemu, wszedł sam, zamykając drzwi natychmiast za sobą.

Wojewoda wstał, nie śpiesząc, powoli i mierzonemi krokami począł zbliżać się ku niemu.

Oba oni, nie znając się wcale, naprzód oczyma ciekawemi mierzyli, siły swe oceniając.

Wincz Świdwa tak miał pańską postawę, jak Luder, — oba niemal się czuli równymi dumą. Mistrz czuł, że człowieka tego musi oszczędzać i łagodzić — Wincz zrozumiał, iż pod płaszczem zakonnika stał przed nim książę niemiecki.

Skłonili się sobie głowami, lecz Luder ręki nie wyciągnął.

Usłużny Petrek żwawo po niemiecku zaczął wojewodę polecać, ułatwiając rozmowę, która łamanym językiem dla obu niełatwą być miała.

Od pół wieku tu już siedząc, książę się języków różnych uczył potrochu, lecz żadnym nie mówił dobrze, mając je jako barbarzyńskie w pogardzie. Pruskim z musu i dla stosunku z ludem mówił najlepiej; Świdwa zaś oprócz polskiego mało co niemieckiego tylko rozumiał.

Petrek Kopa stał się jako tłumacz i pomocnik niezbędnym, i tak ta rozmowa, ktróa powinna była być tajemną i poufną, bez świadka się nie obeszła.

To ją czyniło nad wyraz trudną i przykrą dla wojewody.

W pierwszej chwili ledwie srom swój mógł przemóc, zabełkotał coś niewyraźnie i łzy mu z oczów trysnęły. Skarżył się na upokorzenie, jakiego doznał od króla, a tu on sam z dobrej woli na stokroć się boleśniejsze narazić musiał. Przybrał tem dumniejszą postawę, im boleśniej czuł się dotkniętym.

Luder zdawał się rozumieć, co się w duszy tego człowieka działo i chciał litościwym, i łagodnym się okazać.

Po krótkiej walce z sobą wybuchnął wojewoda, nie zważając na to, czy zrozumianym będzie i czy usłużny tłumacz za słowami jego wydąży.

— Widzicie mnie przychodzącego do was — mówił gorączkowo, — bo panu temu, któremu do siwego służyłem włosa, dłużej nie chcę i nie mogę. Stała mi się krzywda... chcę pomsty... kraj, którym rządziłem lat tyle, który mu dałem i utrzymałem, jest mój do dziś dnia, pójdzie za mną. Przyprowadzę wam wojsko w posiłek i nielada ludzi, ale takich, co najlepiej znają tę ziemię... a ja, ja znam najlepiej nieprzyjaciela, z którym walczyć macie.

Mistrz słuchał, zaledwie lekkiem głowy poruszeniem dając poznać, że rozumie. Wojewoda wybuchał wciąż z gorączką wielką; mistrz jakby od niej ostygał, stawał się zimniejszym coraz. Nie odpowiedział ni słowa.

To jątrzyło wojewodę, który powtarzać się począł z narzekaniami i gniewy, z wysławianiem siebie. Wzamian krzyżacki pan nie śpieszył z żadną ze swej strony ofiarą — wojewoda zmuszonym był przez tłumacza zażądać warunków dla siebie.

— Spodziewam się — rzekł, — iż ocenicie usługę, jaką wam oddaję osobą moją i ludźmi. Pragnę, abym się przy tej ziemi, którą wam jako sprzymierzeniec oddaję pod opiekę, utrzymał panem zwierzchnim. Nietylko ją pozyskacie, ale pozbędziecie się króla i jego do Pomorza pretensji. Mam więc prawo domagać się.

Mistrz niedokończoną mowę przerwał zwolna cedzonemi wyrazy, po niemiecku mówiąc dla Petrka, a patrząc chłodno i z góry na wojewodę.

— Zakon niewdzięcznym nie jest. Skoro usługa się okaże wielką, nagrodę da słuszną. Ale potrzebuje naprzód mieć to, co mu obiecujecie, a potem oceni i zawdzięczy.

— Chcecie więc, bym się zdał na łaskę lub niełaskę? — zawołał wojewoda. — Ja tu czuję się równym wam i jako z równymi mówić przychodzę. Przymierze przynoszę, mówmy o warunkach.

Mistrz spokojnie się uśmiechnął.

— Mylicie się, panie palatynie — rzekł do Petrka. — Jak skoro tu jesteście i krok ten uczyniliście, na łaskę i niełaskę zakonu zdaliście się dobrowolnie. Lecz wspaniałomyślny zakon rycerzy Grobu Pańskiego i sług Marji nie zechce korzystać z tej mocy, jaką mu daje nad wami nieszczęście wasze. Spokojni bądźcie.

Wojewoda postrzegł dopiero teraz może, jak daleko zaszedł i jak zwrot był niepodobnym.

W istocie był na łasce lub niełasce zakonu, w rękach jego, nie wolnym sprzymierzeńcem, ale przymusowym sługą. Zemsta czyniła go niewolnikiem — westchnął boleśnie. Mistrz uznał właściwem ranę złagodzić i wyrzekł kilka słów pochlebnych.

— Nie trwożcie się — począł, — byśmy posługi waszej nie umieli ocenić. Jest ona dla nas przydatną i nie zaprzemy jej.

Poczem natychmiast spytał jeszcze Petrka, ilu mu ludzi przyprowadzić może wojewoda, jak zbrojnych i kiedy się z nimi stawić może.

Rozmowa z namiętnej stawała się chłodniejszą i rachunkową. Lecz niepodobieństwem było wojewodzie ściśle siły zbierające się oznaczyć. Obiecywał do tysiąca rycerstwa dobrze zbrojnego, a kilkakroć tyle ludu pospolitego, który ono prowadzić miało.

Mistrz chłodno uczynił uwagę, że najlepiej zbrojny Polak z niemieckim rycerzem narówni stanąć nie mógł i dodał, że ludu też niewiele ceni, chyba dla straży przy łupach i zdobyczy.

Zniżał tym sposobem szacunek ofiary, jakgdyby chciał razem i nagrody niemieckie uszczuplić. Dotknęło to wojewodę, zżymnął się srodze.

— Prawda jest — rzekł, że nasze rycerstwo tyle żelaza na sobie nie nosi, lecz łacniej za to obraca, a czasu boju, gdy się na stronę, w której posiłków potrzeba przerzucić może, wielkie usługi oddać potrafi.

Luder nie chciał temu zaprzeczać, głową tylko potwierdził, co słyszał. Rzekł potem zaraz, że mu pilno było i że posiłków tych oczekiwać długo nie może, wszystko już mając do wyprawy w pogotowiu.

Wojewoda odparł opryskliwie i niechętnie, że gońców rozesłał i że w dni kilka przyciągnąć może.

Mistrz na dni kilka wyraził zgodę. Tak na mały czas, wyczerpana pozornie, przerwała się rozmowa. Spozierali na siebie, lecz nietrudno było zrozumieć, iż wojewoda miał wiele na sercu, z czego się nie wyspowiadał, co chciał obwarować i wypowiedzieć.

Luder też cierpliwie czekał.

Szepnął Wincz Petrkowi już prędko mówiąc, aby zawarował u mistrza, że ziemi tej, z której on żołnierza przyprowadzi, niszczyć i najeżdżać nie będzie.

Nastąpiło długie milczenie, stał mistrz zadumany, niepewny, obrachowując, co miał powiedzieć, nie śpiesząc z obietnicą żadną.

— Znacie, co to wojna — rzekł w końcu. — Gdy się wyciąga w pole, wie wódz, dokąd prowadzi, a jak daleko zajdzie i gdzie mu zboczyć przyjdzie, pewnym nie jest nigdy. Próżną tu więc byłaby obietnica, której dotrzymać nie jest w ludzkiej mocy. Zechcemy ziemię waszą i posiadłości szanować, jak posiłkującemu należy, lecz za los wojny któż zaręczy?

Poruszył ramionami.

Wincz wlepił w niego oczy i nic wyczytać nie mógł w wejrzeniu oprócz chłodu i pewności siebie a tej wyższości, z jaką mistrz to mu dawał, co chciał, do niczego się nie widząc zmuszonym.

Wojewoda drgnął, zbladł, ale uczucie upadku swojego, który poczuł, ukrył, bo się go sromał. Gorycz tę połknąć musiał i strawić w sobie.

Siwa głowa opadła na piersi. Tak więc oddawał całego siebie, życie, cześć, wierność swą, niepodległość, do jakiej nawykł, a wzamian zyskiwał tylko jedno — nasycenie zemsty upragnionej.

Krew, której się miał napić, winna mu była starczyć za wszystko.

Uśmiechnął się do siebie sam.

— Zemstę, zemstę będę miał — pomyślał — choć ją okupię drogo.

Mistrz Luder, który już rozmowę za skończoną uważał, a był z niej i z siebie rad, rozjaśnionem czołem przystąpił bliżej do wojewody i tonem łagodnym, poufalszym przez Petrka go rozpytywać zaczął, troskliwie niby — czy rodzinę swą uprowadził, czy bezpiecznym był od króla i królewicza, że zawczasu myśli jego nie odgadną.

Na to wojewoda mrukliwie, krótko, niebardzo chętnie, pół słowy tylko dał odopwiedź zbywającą. Oświadczył zarazem, iż długo tu zabawić nie może i widzianymby być nie chciał, zatem upewniwszy się o miejsce, na które si ęma stawić, natychmiast mistrza pożegnać musi.

Chciał potem wznowić mowę o tem, co uparcie przymierzem nazywał, lecz Luder powtórnie zbył go słowy ogólnemi, a co przykrzejsza, okazał cień pewien nieufności, jakgdyby do zrozumienia dać chciał, iż ten, co jednego zdradza, i drugiemu może słowa nie strzymać.

Musiał i to przełknąć wojewoda, udając, jakoby nie rozumiał; westchnienie z piersi mu się wyrwało.

Jeszcze rozmawiali, gdy Luder, wychyliwszy się ku kompanowi, za drzwiami nań oczekującemu, rozkazał podać wino i jedzenie, nie mogąc gościa, który widzianym nie chciał być, prowadzić do wspólnego stołu.

Wszystko było obrachowanem tak, aby do uczt królewskich nawykłemu Winczowi, który sam zamożnym był panem, okazać bogactwo i wspaniałość zakonu. W trzeciej izbie stał już nakryty obrusem szytym, zastawiony srebrnemi naczyniami pozłocistemi, szkłem weneckiem, misternemi puhary i misami stół, o dktórego zapch silny korzennych przypraw zdala czuć było.

Tu Luder wprowadził gościa, zapraszając do posiłku przed podróżą. Sam on, do kubła nalawszy tylko nieco pigmentu, do ust go przyłożył za zdrowie wojewody.

Petrek się chciwie, nóż dobywszy z za pasa, rzucił na jadło; Wincz nic oprócz wina nie tknął, chleba kawałek skruszył i zadumany pił tylko.

Posępność gościa, który miał odjechać z bólem w duszy, musiała nie być miłą mistrzowi, gdyż zmuszając się do wesołości, usiłował go w lepszy humor wprowadzić. Trudne to było zadanie. Dopiero, gdy o królu Łoktku, o synu jego, o głośnej historj na dworze Karola Roberta mówić począł, zapowiadając, iż wobec Jana, króla czeskiego, który razem polskim się wzał i był, Władysław utrzymać się nie potrafi — usta się rozwiązały wojewodzie.

Namiętnie przeciwko królowi występować zaczął. wyśmiewając się i odgrażając nań.

Całe tam Łokietkowe życie przeszło przez gryżące zęby człowieka, który temu królowi wszystko, czem był, zawdzięczał: owe boje początkowe młodzieńcze, zuchwałe, szczęśliwe i niefortunne, ubóstwo, prześladowanie, wojskowe hasanie po kraju, pokuta, wygnanie, powrót, walki... a wszystko to, co się na najpiękniejszy obraz niezmordowanej pracy składało, w ustach Wincza było przedmiotem szyderstwa i najczarniejszych potwarzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Listy z gwiazd.

Czasem się wydaje, że głos, który słyszymy przez radjo ma barwę złotą; to pewnie dlatego, że biedne ludzkie słowo poleciało aż pomiędzy gwiazdy i nabrało od nich blasku. Czasem głos ten tak drży, jako właśnie gwiazdy drżą na mrozie, inaczej nie byłyby tak bardzo wzruszone. Może też być, że kiedy ktoś ślicznie mówi przez radjo, wtedy, jak Słowacki powiada: „Gwiazdy klaszczą złote" — wszystko to być może: czyste serce, jak serce dziecka, może uwierzyć w taką bajkę, nie jest to jednak bajką, że czasem z gwiazd spadają listy, takie złote, jak jesienne purpurowe liście, co zlatują z niezmiernego drzewa, które ma nieogarnioną koronę błękitu, a gwiazdy rosną nań, jak złote jabłka Hesperyd. Mówię o tem, bo ja wiem. Oto ile razy przemawiam w radjo, otrzymuję sto, a czasem i dwieście listów. Skąd te listy przybyły? Z ziemi? A nieprawda! Te listy zlatują na mnie z gwiazd, z tej wysokości, gdzie było przez króciutki moment moje słowo, gdzie wszystko jest czyste i przeczyste, promienne i bez zmazy, gdzie mieszka wzruszenie i dobroć i gdzie złote promienie wydają taki cudownie tajemniczy dźwięk, jak ludzkie serce szczęśliwe. Może to ja mam głowę tak pomyloną, że zwyczajny list z poleskiej wioski, wydaje mi się pisaniem anielskiem i posłaniem od gwiazd. Nie martwię się jednak tem mojem szaleństwem. Ja wierzę, że ci ludzie, co z wielkiem wzruszeniem serc napiszą do mnie te listy, byli ze mną na gwiazdach onej chwili, kiedy ja mówiłem, a oni słuchali. Serca nasze dostały skrzydeł, a cóż łatwiej, jak odlecieć na nich od ziemi, szarej i spowitej we mgły, w rajską dziedzinę ułudy? Czytam te listy jakby to były głosy z dalekiej, dalekiej ziemi, gdzie cierpienie zakwita purpurowym kwiatem, a samotność żali się głosem cichym i nabrzmiałym od łez. Czasem zamiast ostatniego słowa, co powinno być napisane atramentem, widać odcisk słodkich ust: to pocałunek. Czasem niema w takim liście nazwiska tego, co pisał. Oczywiście. Poco nazwisko, skoro ten list pisała dusza bezimienna, serce zbolałe, smutek, który nie ma imienia, jak go nie ma łza?

Rozrzewniłem się, stary pismak, ale jak się nie rozrzewnić, do stu tysięcy fal krótkich i długich! Spróbuj czytać ze spokojną twarzą taki list, który opowiada z cudownym, pogodnym spokojem: „...mam lat dziewiętnaście, a od lat dziesięciu nie posiadam władzy w nogach... Kiedy słuchałam wczoraj, coś mnie schwyciło za gardło... Miałam w oczach łzy... Na drugi raz już będę spokojna... Ale wczoraj..." Dziecko jedyne, drogie, biedne dziecko! Gdybym ja był wiedział, że mnie słuchasz, wyjąłbym sobie serce z piersi i z jego cząstek byłbym lepił słowa dla ciebie, maleńka, tylko dla ciebie.

(Niech wszyscy, mówiący przez radjo pamiętają, że w dalekiem miasteczku, na Podlasiu, słucha ich dziewczynka, która od lat dziesięciu nie może powstać).

„Jestem ślepy — mówi ze spokojem inny list — wczoraj jednak widziałem. Widziałem dobroć i wzruszenie... Ze ślepych oczu także łzy płyną... Dyktuję ten list, ale go dotykam ręką... Niech Dobry Bóg i t. d..."

(Niech wszyscy, mówiący przez radjo pamiętają, że gdzieś na Śląsku jest człowiek ślepy, który jednak każde widzi słowo. Ze słów wiela niech jedno najświetliściej zabarwia dla niego, niech mu je dadzą jak okruszynę słońca).

A inny list tak powiada: „...Jesteśmy we dwie w smutnym domu, matka, bardzo chora, i ja. Ojca pochowałam przed miesiącem... Nikt nas nie odwiedza... A pan wczoraj mówił, że na świecie jest jeszcze miłość i że nadzieja zbliża się jak wiosna. Wierzymy i będziemy czekać. Niech Bóg i t. d..."

(Niech wszyscy, mówiący przez radjo pamiętają, że gdzieś w smutnych izdebkach jakieś biedactwa czekają na nadzieję).

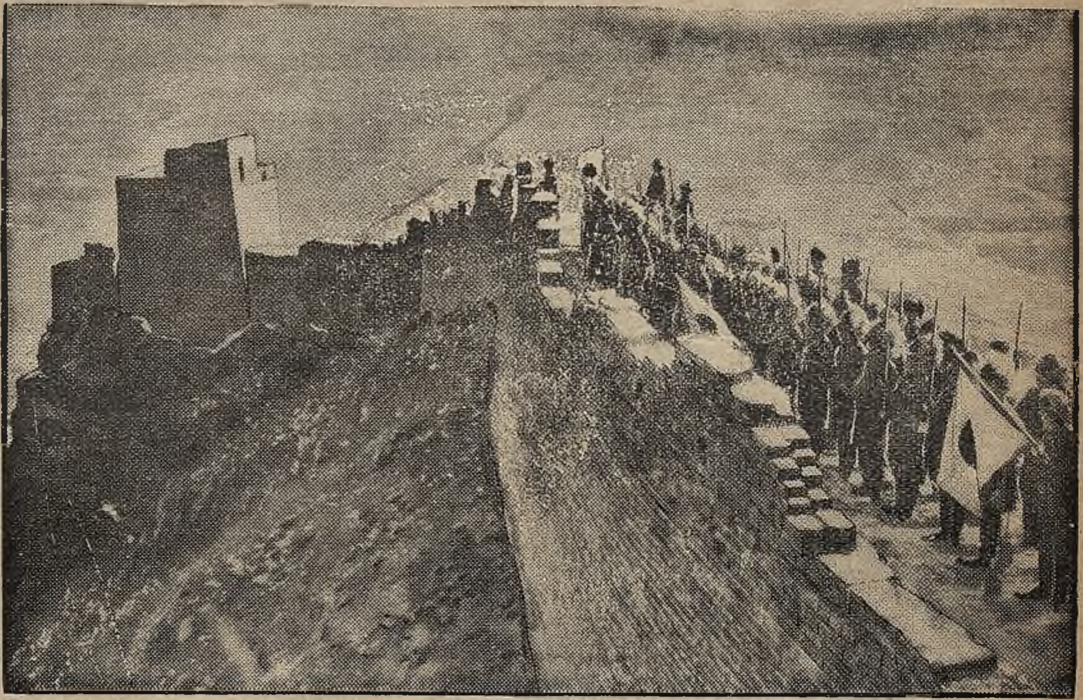
A jeden list przypadł do moich rąk i płacze: „jestem, mówił łkając, kobietą, której wyrządzono śmiertelną krzywdę. Zostałam z dwojgiem dzieci. Słuchałam tego, co pan mówił — więc naprawdę są ludzie dobrzy? Niech pan to powie jeszcze raz! O niech pan..."

A inny list... Nie. Już dość! Te wszystkie listy są do siebie podobne: mają kształt serca, a pisane są ręką drżącą i chwiejną. Były na gwiazdach i są wzruszone lotem ponad ziemię. Jedno z nich można wyczytać w każdym: że ci co słuchają, owinąwszy się w ciszę jak we mgły, zamieniają się w dzieci, wzruszone, serdeczne dzieci; że w te zasłuchane serca można posiać złote ziarna, bo są zachłannie głodne dobrego słowa. Jak spękana ziemia głodna jest dżdżu i że wierzą, wierzą.

Na Boga! Niech mnie człowiek zły albo głupi nie posądzi o to, że mówiąc o tych listach, chcę własną pomnażać chwalbę. Ja to piszę w tym celu, aby ci co mówią przez radjo, pamiętali zawsze nieodmiennie, że mówią nie do elektrycznego aparatu, lecz do żywych ludzkich serc, czekających z umęczoną tęsknotą, aby z gwiazd spadły na nie słowa tak dobre, jak dobroć i tak pełne miłości, jak miłość sama.

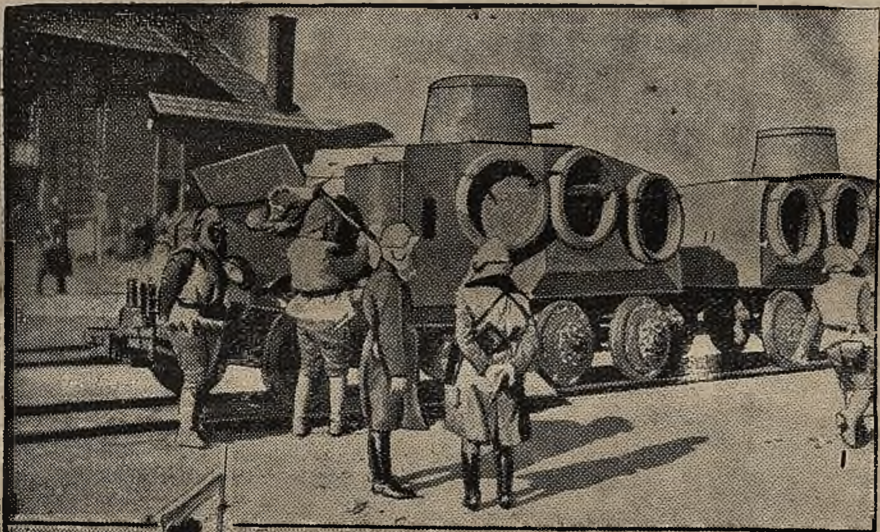
Kornel Makuszyński.

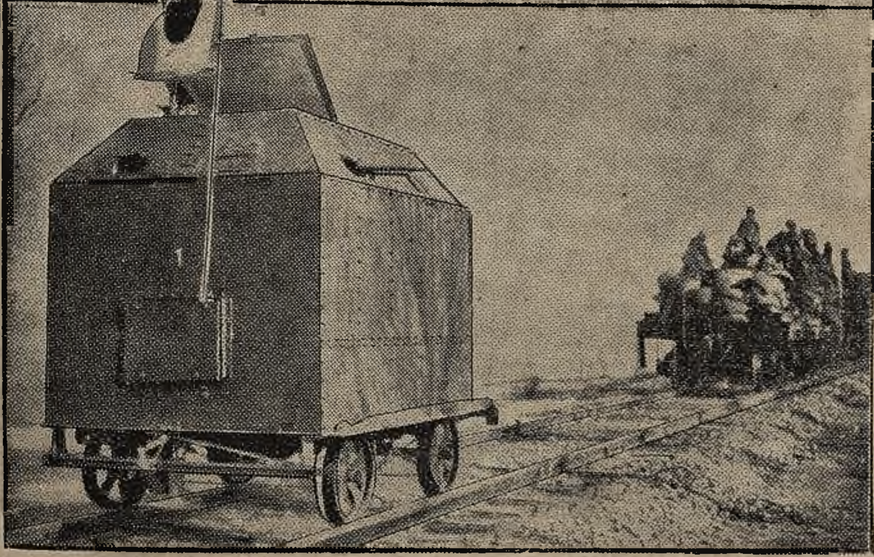
Konflikt na Dalekim Wschodzie.



Krwawe walki na Dalekim Wschodzie pomiędzy Chinami a Japonją nie ustają. Jak z wszystkiego można wnosić, Japonja dąży poprostu do rozbioru Chin, a właściwie do opanowania większej ich części i podziału reszty na drobne i słabe państewka.

Pierwszym etapem było opanowanie Mandżurji i utworzenie z niej niby niezależnego państwa, na którego czele stanął ostatni potomek z cesarskiej rodziny chińskiej nazwiskiem Pui. Obecnie Mandżurja jest, jak zaznaczyliśmy, pozornie tylko państwem niezależnem, ale w rzeczywistości rządzą tam Japończycy i coraz bardziej się w niej umacniają.





Drugim etapem było zajęcie chińskiego miasta Szan-Hai-Kwan, leżącego już na terytorjum właściwych Chin. Po krwawych zapasach, w których poległo wielu żołnierzy tak po stronie japońskiej, jak i chińskiej, a jeszcze więcej było rannych, udało się Japończykom zająć ten ważny punkt strategiczny i umocnić się w nim. Chińczycy zaprotestowali przeciw temu, jak wogóle przeciw całej wojennej akcji swych sąsiadów. Na to odpowiedziała Japonja, że i owszem, zaprzestanie dalszych kroków wojennych, jeżeli Chińczycy opróżnią z wojsk cały okręg, otaczający zdobyte miasto. Oczywiście na takie żądanie Chiny zgodzić się nie mogły, bo gdyby się zgodziły, to Japonja postawiłaby dalsze żądania.

Jak donoszą telegramy z Dalekiego Wschodu, Chińczycy zebrali większe siły i uderzyli na wojska Japońskie. W chwili, gdy to piszemy, toczą się w pobliżu Szan-Hai-Kwan zacięte walki. Podobno chińskiej kawalerji udało się przerwać front japoński i zadać Japończykom poważną klęskę. Ani wątpić nie można, iż Japończycy wytężą wszelkie siły, aby ową klęskę powetować i odrzucić daleko w głąb Chin chwilowych zwycięzców.

Tragedją dla Chin jest to, iż nikt się za nimi nie ujmie. Zwracają się one wprawdzie do Ligi Narodów, ale Liga Narodów jest tu

po pierwsze bezsilna, a po drugie w grę tam wchodzą także interesy Francji i Anglji, które to państwa nic nie mają przeciw temu, aby Chiny zostały znacznie osłabione.

Na pierwszym naszym obrazku widzimy wojska japońskie w chwili, kiedy poraz pierwszy stanęły przed tak zwanym „murem chińskim“, o którym pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Roli“. Na drugim obrazku widzimy pancerne auto japońskie na szynach, a obok niego obsługę żołnierską tego auta. U dołu znajduje się jeden wagon pancernego pociągu japońskiego z sztandarem japońskim na przedzie. Już z tych obrazków można wnioskować, że Japończycy są doskonale uzbrojeni i przygotowani znakomicie do wojny, czego w znacznej mierze brak Chińczykom.

Co najbliższa przyszłość przyniesie, trudno przewidzieć, przypuszczać jednak można, że po krwawych zmaganiach Chiny wreszcie ugiąć się muszą i przyjmą warunki, jakie im Japonja podyktuje.





MACIEK BZDURA GADA:

Kuba Wawrzasek z Psiej Wólki miał się okrutecną ochotę ozenić, bo któryż chłopak nie ma do tego ochoty, kiedy mu odpowiednie roki na to przyjdą. Kuzdy ma ochotę, ale niejeden się wstyda, a inksy nie wie, jak to ma zrobić. Tak na hurumburum toby kuzden potrafił, ale tak na wiecność, to niejednemu w ostatniej chwili odwagi zabraknie i da sobie ze wszyćkiem spokój.

Ale Kuba Wawrzasek postanowił sobie wziąć to babskie niescęście na kark i nic go od tego zamiaru odwiźć ni mogło. Ozenić się nie śtuka, ale z kim, to większa śtuka. Bo baba to nie jałówka, którą gdy się nie uwidzi, odprzedać mozna, albo wreście nozyskiem po garle i kuniec. Dobrą babę toby tam moze i niejeden odkupił, ale złej to i zabezdurno nikt nie chce, a nozem jej po garle ciachnąć ni mozna, bo wiadomo przecie, ze za to kreminał i kuniec.

Ostatecnie śkapę, cy inkse jakie cworonozne stworzenie, to po ugodzie mozna wziąć na próbę na jaki tydzień, cy dwa, a baby nie. Zreśtą choćby i mozna było, to co z tego? Śkapa, jak zła, to i na próbie będzie zła, a jak dobra, to się i na próbie nie popsuje, z kobitą byłoby jednak inaczej. Gdyby se cłek wziął jaką brzanę na próbę, to onaby przez cas próby była jak zgniła ulezałka; mógłbyś z nią robić, cobyś chciał, mógłbyś ją połozyć, gdziebyś chciał. Twoja wola, byłaby jej wolą, twoje upodobania byłyby jej upodobaniami, twoje przyjemności byłyby jej przyjemnościami. Ale po próbie... skoda gadać! Zreśtą i jegomość na zadne próby pozwolić nie chcą, bo powiadają, ze to grzych. Mnie się to jakosik niebardzo widzi, bo i jakze? Bo dajmy na to, jak ja kiełbasę spróbuję, albo zjem, to mam grzych, o ile jest post, albo nie mam grzychu, jak nima postu, a z babą jest inacej: spróbować ją, to zawse grzych, a zryć ją bez całe zycie, to nima grzychu. Albo albo! Ale mniejsa z tem, bo mowa nie o grzychu, ale o Kubowej zeniacce.

Chciał się Kuba zenić, ale nie wiedział z kim, więc posedł na wywiady po wsi.

Na majątek on nie chciwy, wszyćko jemu idzie z płatka. Ma bydełko, istne dziwy, jego domek, jakby klatka. Totez schludnej baby suka, by porządek w chacie znała... Jak ją znalazł? Zadna śtuka! A rzec owa tak się miała:

Idzie wiecór do somsiada... Wszyscy scyrze go witają... (Gospodyni straśnie rada: na wydaniu dziwkę mają). Porządek, jak u Tatara: miski stoją na nalepie, a w donicy świnia stara z apetykiem zarcie chlepie.

Pogadali dobrą chwilę. Za usyma mu trajkocą... Gospodarz się pyta mile:

— A moześ ta przysedł po co?

— Prosiłbym was o poradę — kłamie Kuba, jak najęty. — Krowa chora, ma tę wadę... Poradźta mi co, Wincenty!...

— Acha! cary! lub w pomiocie, albo ją zaś kurdziel pije! Maryś! Uzmiatajno tamoj w kącie trochę śmiecia od wilije! Tem okadzić trzeba krowę, prosek wsypać do cebrzyka... Jutro bydlę będzie zdrowe, bo zabijem paskudnika...

Kuba w kiesen śmiecie wpycha...

— Dobrej nocy! Bądźcie zdrowi!... A za progiem sepnął zcicha:

— A to ze mnie ogon krowi!

— Uf!... odetchnął juz na dworze. Węzeł wyjął pokryjomu, śmiecie rzucił ku oborze i powrócił zły do domu.

Bo i rację miał, jak wiecie: cóze warta zona taka, co obejścia nie zamiecie, ino pielęgnuje śmiecie, jakby jakie gdzieś mycyje, do zapustów od wilije!

Więc w niedzielę po niesporze do Wojciecha się wybiera. Coś go ciągnie... Mocny Boże, on juz dawno tam spoziera.

— Pochwalony!

Wchodzi w progi... Siedzi Zosia, ksiązkę cyta... Jak tu cicho, spokój błogi... Coś za serce Kubę chwyta... Tak tu pięknie i wesoło, ściany biało wybielone... Obziera się Kuba w koło: wszędzie cysto zamiecione.

Gdy juz chwilę pogadali, prosi Wojciech swego zucha:

— Czytaj, Zosiu, ksiąźkę dalej, to i Jakób rad posłucha.

Czyta Zosia o Kościuszce, co zjednoczył wszystkie stany, co we znaki dał „batiuszce“, co nie wstydził się sukmany.

I co dalej? — spyta się pewnikiem niejeden. A cózby? Nie trza było Kubie długiej próby, bo maleńka próbka mu wystarcyła, którą wybrać za zonę: Maryśkę, cy Zośkę? Ocywiście wybrał Zośkę, a weselisko ich odbędzie się jesce w tym karnawale.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Malakka i Malajczycy.

Chcąc dopłynąć okrętem przez ocean Indyjski do Chin, a względnie dalej do Japonji, musi się przepływać około półwyspu Malakka przez tak zwaną cieśninę Malajską.

Malakka jest to wąski półwysep w Indjach Zagangesowych, skierowany ku południowi, a sięgający prawie do równika. Mieszkańcy tego półwyspu należą do odrębnej rasy malajskiej, ale ponieważ na wybrzeżach tego kraju kwitnie handel i rozwinęła się od wieków żegluga, przeto wiele tam mieszka i obcych przybyszów, Chińczyków, Indusów, Arabów, wreszcie Anglików, którzy założyli swoje kolonje i faktorja handlowe. Najważniejszym ich portem jest Singapore, który jest położony nad cieśniną Malajską między Malakką a wyspą Sumatrą.



Dom wśród parku u Malajczyków.

Malajczycy nie mieszkają tylko na wspomnianym półwyspie, ale są oni rozrzuceni na przestrzeni około 24 tysiące kilometrów, bo od Madagaskaru, położonego w pobliżu wybrzeży afrykańskich, aż do Wyspy Wielkanocnej, znajdującej się niedaleko Ameryki południowej. Przestrzeń tę zdobyli, płynąc na drewnianych czółnach po bezmiernych i burzliwych oceanach, Indyjskim i Spokojnym. Wschodnia ich połowa (mieszkańcy Polinezji) ma włosy kędzierzawe i skórę brunatną, zachodnia (wyspy Sundajskie, Malakka i Madagaskar) włosy gładkie, skórę jaśniejszą i żółtą, podobną do Mongołów.

Malajczycy trudnią się rolnictwem, handlem i rozbojem morskim, szybko przyswajają sobie wiadomości od obcych ras nabyte, a wyroby ich przemysłu domowego, niezwykle barwne i piękne, tem większy budzą podziw, że wykonane są narzędziami z drzewa, kamienia i kości, bez użycia żelaza.

Używają oni broni prymitywnej, strzał, łuków, krótkiego miecza, krisu, tarczy drewnianej albo plecionej, którą niektóre plemiona zdobią włosami zabitych nieprzyjaciół, na głowę używają hełmu metalowego lub plecionego. Ubiór Malajczyków jest począwszy od osłon, zapasek, skór dzikich zwierząt z ogonami, któremi się okrywają, aż do stroju europejskiego w użyciu.



Na werandzie malajskiego domu.

Podobna rozmaitość panuje także w budowie domów. Ludy niskiej cywilizacji, jak Ilongtowie na Luzonie, Battowie na Sumatrze i plemiona Mindnao budują domy na gałęziach drzew, inni stawiają budowle palowe na rzekach, jeziorach i po brzegach mórz, cywilizowańsi Talagowie na Filipinach budują wioski wśród ogrodów. Po miastach budują się Malajczycy na sposób chiński. Jeden z takich domków, zbudowany w sposób nadzwyczaj prymitywny wśród uroczego naturalnego parku, widzimy na pierwszym z naszych obrazków.

Na drugim obrazku mamy część malajskiego domu z obszerną werandą, a na niej małego Malajczyka, huśtającego się w hamaku.

Usposobienie Malajczyków dziwnie przepaściste; obok tchórzostwa występuje u nich czasem bohaterskość, uprzejmość, łagodność, bez inicjatywy, często obok niezrozumiałej dla nas dzikości. Wpadają nieraz w takie szaleństwo, że tną i zabijają wszystko obok siebie. Takich szaleńców chwytają osobnymi na to sporządzonymi przyrządami.

Niektóre plemiona, jak Dajakowie na Borneo, miejscami na Filipinach, na Sumatrze, na Minahassie uprawiają polowanie na głowy. Bardzo wiele uroczystości religijnych, urodzin, wesel i pogrzebów nie może obyć się bez upolowanej głowy nieprzyjaciela, a im więcej tych głów się zetnie, tem więcej zaszczytu dla bohatera. Narzeczona ceni tembardziej swego narzeczonego, im więcej głów jej dostarczy. Osada szczególniej uwielbia tego, który najwięcej głów upolował. W ten sposób wyniszczają się te plemiona. Umrze rajah, to ścinają znów głowy, ponieważ zabici służą zmarłemu na drugim świecie za niewolników. W każdym razie jest to jeszcze mniejsze wyniszczenie ludności, jak u takiego plemienia Tuda, gdzie rodziny zachowują tylko jedną córkę, resztę córek, przychodzących na świat duszą. Z braku tedy kobiet bywa jedna kobieta żoną kilku mężczyzn. Oczywiście plemię to jest skazane na zagładę, bo skądże się mają brać ludzie, jeżeli małe dziewczątka wyduszą?

U niektórych plemion nieżonaci mężczyźni żyją wspólnie po stu razem w domach glinianych, które służą podróżnym za miejsca wypoczynku, na zbiór czaszek świętych i na zebrania oraz uroczystości. Domów tych nie mogą odwiedzać kobiety.

J. MOKRZYCKI.

TRUCICIELKI.

Powieść kryminalna z 18 stulecia.

(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Gdy wreszcie zakryto trumnę i wyniesiono, odetchnęła z ulgą i ruszyła zwolna z orszakiem pogrzebowym, pomimo, iż się strasznie nogi pod nią trzęsły.

W kościele wystawiono jeszcze trumnę na wysokim katafalku, a duchowni odprawiali ostatnie egzorcyzmy. Wreszcie orszak ruszył na cmentarz, gdzie stał otwarty grobowiec rodzinny Brzeskich, zbudowany przez pana Zygmunta, w którym spoczywały dopiero zwłoki matki Władysława.

Po zakończeniu obrzędów pogrzebowych, spuszczono trumnę do grobowca, poczem goście zaczęli powoli opuszczać miejsce wiecznego spoczynku. Omdlałego z bólu Władysława zabrano do oczekującego powozu a goście, jedni wsiadali do powozów, inni pieszo dążyli w stronę zamku.

Ostatnie opuściły cmentarz baronowa z córką. Gdy minęły bramę cmentarną, odezwała się do matki Elfryda:

— Mama nie ma pojęcia, co przeżyłam dzisiaj. Myślałam, że już wszystko stracone. Ona żyje — widziałam wyraźnie, jak się poruszyła i twarz jej poczęła nabierać koloru, tuż przed zamknięciem trumny. No, teraz mogę się już uspokoić.

— Na Boga! moje dziecko — zawołała przyciszonym głosem baronowa .— Jeśli nie jesteś w złudzeniu, to musimy coś przedsięwziąć... Ona nie może tam żywa pozostać. To okropne!

— Czy mama chce mnie zgubić?! — syknęła, zmierzywszy matkę gniewnem spojrzeniem. — Nie warta ona lepszego losu. Miejsce przy boku Władysława należy się mnie a zamek Fallenburg powrócić musi do rodziny niemieckiej. To leży w naszym, nawet interesie narodowym. Ona już pogrzebana i wnet ją zapomną, a niech tylko dopnę tego, by nam z Władysławem ręce związano, pójdzie i on za swą ukochaną, a wówczas zamek przejdzie z powrotem w niemieckie ręce.

— Może i masz rację, moje dziecko — odrzekła baronowa, rozglądając się dookoła, czy niema kogo w pobliżu, by mógł rozmowę tą podsłuchać.

Nie zauważywszy nikogo — powoli oddaliły się w stronę zamku, dążąc za innymi gośćmi.

Gdy baronowa z Elfrydą oddaliły się na znaczną odległość od bramy cmentarnej, z za grubego pnia stojącej tam starej rozłożystej lipy wysunęła się postać młodego, zgrabnego chłopca. .

Był to Tomek. Wyszedłszy za mury cmentarza, ukrył się za pniem lipy, aby, gdy goście opróżnią cmentarz, powrócić i pomodlić się samotnie i wypłakać u grobu tej, którą całą swą młodzieńczą duszą ukochał, a wiedząc, iż przy boku pana Władysława czeka ją lepsza dola, zdusił wszystko w sobie i nigdy, przed nikim z tem się nie zdradził.

I teraz mimowoli stał się świadkiem rozmowy baronowej z Elfrydą.

— O pieskie dusze — zawołał, chwytając się oburącz za głowę. — O morderczynie! Nie uda wam się zbrodnia!...

II.

Do zapadnięcia zmroku błąkał się Tomek bezwiednie w pobliżu cmentarza. W głowie panował mu zamęt myśli, chaos taki nieopisany, że ani rusz nie mógł nic odpowiedniego wymyślić. Z początku chciał biec do zamku i powiadomić o wszystkiem, co słyszał, pana Władysława. Lecz czy go dopuszczą przed pańskie oblicze — myślał — a zresztą gdyby nawet go dopuszczono, czy mu uwierzą? Przecież to nawet do wiary niepodobne by kobieta i to kulturalna miała serce gorsze od drapieżnego zwierza. Gdzie się więc uda? Do sołtysa? I w tem nie widział nic odpowiedniego, gdyż, zwłaszcza teraz w dniach żałoby, zmartwiony pan Władysław z pewnością nie przyjmuje nikogo — a zresztą Elfryda już się postara, by wieść ta do niego nie doszła. W interwencję władz państwowych rosyjskich też zgóry nie wierzył, gdyż tu można było lada łapówką sprawę zatuszować. Jeśliby nawet uratowano żywą jeszcze z grobu Irenę, to któż roztoczy nad nią opiekę, by nie wpadła z powrotem w ręce tych nieludzkich istot. A on tak chciałby choć raz jeszcze w tą kochaną twarzyczkę patrzeć...

Zdecydował się wreszcie. On sam pójdzie, zabierze ją z grobu żywą i będzie strzegł, dopóki jej wrogowie nie zostaną zniszczeni, poczem odda ją z powrotem mężowi... Na tę myśl serce mu się boleśnie ściągnęło.

— Ha cóż — pomyślał — nie dla mnie ją Bóg przeznaczył. Choć boli strasznie, jednak dla jej szczęścia przecierpię wszystko i oddam ją żywą temu, z którym ją Bóg złączył. Ach! by tylko nie udusiła się w tym strasznym grobie! Boże, mój Boże!

Jak postanowił, tak uczynił. Gdy już dobrze zmierzchać się poczęło, pobiegł do domu, zaopatrzył się w dłutko i drąg żelazny oraz małą latarkę i z temi narzędziami powrócił na cmentarz. Nim się dostał do cmentarza, zapanowała już ciemność, gdyż niebo pokryło się chmurami, z których zaczął sączyć drobny deszczyk. Zbliżywszy się do grobowca Brzeskich, przystanął, rozglądnął się, jak złodziej, dookoła, poczem założył dłuto pod zamek, nacisnął mocno żelaznym drągiem i drzwi się otwarły dość lekko, dzięki temu, że grabarz nie zaryglował jeszcze silnie, myśląc następnego dnia zrobić porządek w grobowcu.

Wszedłszy, przymknął drzwi za sobą, zapalił latarkę i po paru schodach spuścił się do wnętrza. Zobaczywszy trumny, ukląkł, przeżegnał się i zmówił krótką modlitwę nad trumną pani Zygmuntowej, poczem zbliżył się do trumny Ireny i śmiało zabrał się do odkręcania śrub, przytrzymujących wieko. Gdy odkręcił ostatnią, do której musiał używać noża, gdyż była mocno zaciśniętą, kroplisty pot wystąpił mu na czoło. Obtarł pot, poczem ostrożnie odkrył wieko... Irena leżała w trumnie, okryta majestatem śmierci. Żadne drgnienie w jej żółto-bladej twarzy nie zdradzało życia. Tomek spojrzał na tą bladą twarz, oświecił ją latarnią i wówczas wstrząsnął nim mimowolny dreszcz... — A nuż to, co słyszał, było tylko złudzeniem jego wyobraźni? Zaraz myślał, iż było to niemożliwe, a jednak dał się uwieść złudzeniu. Ona — ta jego umiłowana, leży naprawdę martwa, a on w zbrodniczy sposób naruszył jej grobowy spokój.

Ukląkł nad trumną i począł się modlić... Zeszła blisko godzina a on modlił się jeszcze. Wreszcie skończył modlitwę, pochylił się nad trumną i zawołał z płaczem:

— Wybacz mi, moja droga, żem się odważył zakłócić Ci spokój, lecz uległem złudzeniu a zresztą chciałem Cię jeszcze raz zobaczyć — pożegnać nazawsze.

Obfite łzy spływały mu z oczu i padały wprost na jej marmurową twarz. Wreszcie pochylił się jeszcze bardziej i ustami dotknął jej czoła.

I oto stał się cud. Zmarła poruszyła się i lekko westchnęła. Wówczas Tomek uradowany wyjął ją delikatnie z trumny, złożył na własnym płaszczu, otulił starannie a zabrawszy, przycisnął do serca i z tym słodkim ciężarem wybiegł na wolne powietrze, zabierając jedynie z sobą latarkę, którą przed wyjściem z grobowca przezornie zgasił. Drzwi jako tako za sobą przymknął i opuściwszy cmentarz, biegł galopem przez pola na przełaj, do swej chatki pod las, starając się omijać wioskę oraz drogi publiczne, uczęszczane przez ludzi, w obawie utraty drogiego skarbu, za który oddałby chętnie i życie.

Elfryda, która dotychczas stała w pośrodku pawilonu z szpicrutą w ręku, gotowa każdej chwili do odejścia, postąpiła parę kroków i rzuciła się na miękki fotel, wsparłszy głowę na dłoniach zamyśliła się głęboko. Spodziewała się, że w Nilsem będzie łatwa sprawa, lecz uczuła nagle, że jego upór jest prawie niezwyciężoną zaporą na jej drodze. Spór z nim był rzeczywiście niebezpieczny, gdyż, znając Nilsa, dobrze wiedziała, iż rzeczywiście nie cofnie on się przed niczem. Mówiąc o owym testamencie, miał z pewnością na myśli jej brzydką przeszłość, która, gdyby została ujawniona, pociągnęłaby dla niej bardzo nieprzyjemne skutki, a w pierwszym rzędzie zniszczyłaby jej plany. Wówczas wszyscy mężczyźni odwróciliby się od niej ze wstrętem i nie mogłaby nigdy zostać żoną porządnego człowieka, pozostałoby jej jedynie miejsce wśród najgorszych szumowin społecznych, wśród nędzy i n edostatku — lub lepsza nad to — śmierć samobójcza.

Otóż ona, która uchodziła za porządną kobietę, była rzeczywiście moralnie upadłą istotą. Wszedłszy w stosunek miłosny z Nilsem, popełniła błąd, którego owocem było niemowlę. Niemowlę to zostało oczywiście natychmiast otrute — jedyny świadek jej upadku, służąca, która była przy porodzie, otrzymała także dawkę trucizny i umilkła nazawsze, pozostał jednakże Nils, który oczywiście nie mógł o tem nie wiedzieć. Wiedziała o tem wprawdzie, także jej matka, lecz o nią była zupełnie spokojną, albowiem była ona także wspólniczką zbrodni popełnionej na dziecku i służącej. Gdyby Nils wykonał swą groźbę i wszystko wyjawił, w co zresztą nie wątpiła, sprawa ta po pierwsze wytrąciłaby ją z grona uczciwego społeczeństwa, w którym się obracała, a w dodatku, kwalifikowałaby ją na parę lat do kryminału, lub ciężkich robót — o ile nie na szubienicę. Wobec tej groźby czuła się więc pokonaną, nie chąc jednak zrezygnować ze swych wielkich zamiarów, obmyślała środki, zapomocą których udałoby jej się wybrnąć z tej opresji. Nic jednakże nie mogła narazie wymyśleć, pomimo najwyższych wysiłków swej mózgownicy. Wreszcie znalazł się środek, jej zdaniem, najodpowiedniejszy, oraz nieomylny.

Nils tymczasem cieszył się w duchu ciosem, który jej w samo serce zadał i nie przerywając jej myśli, nerwowemi krokami chodził tam i napowrót po pawilonie.

— Słuchaj Nilsie! — zawołała nagle z uprzejmym uśmieszkiem — usiądźże sobie tu obok, musimy przecież wreszcie rozsądnie pogadać i przyjść do jakiegoś porozumienia.

— Więc mów... słucham — rzekł Nils, siadając obok na fotelu.

— Z tobą trudno dojść do porozumienia. Zaraz się denerwujesz i grozisz, wiedz jednak, że groźb twych wcale się nie boję i pójdę dalej drogą, którą zamierzyłam, bez względu na to, chociażbyś wściec się miał ze złości...

W tej chwili Nils zerwał się jak oparzony, lecz Elfryda silnym ruchem przyciągła go z powrotem na fotel.

— Siedźże do licha spokojnie i wysłuchaj do końca, co powiem. Celem moim jest zdobycie majątku, aby sobie zabezpieczyć spokojne życie na przyszłość. Cel ten osiągnę jedynie przez oddanie ręki Brzeskiemu, gdyż on posiada majątek taki — jakiego mnie właśnie potrzeba. Nie wychodzę za niego z miłości, gdyż serce me do ciebie należy, tobie jednemu je oddałam...

— Czyżby naprawdę!? — zakrzyknął, chwytając ją za rękę, którą następnie do ust przycisnął i zaczął okrywać pocałunkami.

Nie broniła się wcale, tylko oczy jej błysły tryumfem. Poczuła, iż go chwyciła na wędkę.

— Słuchaj więc — zaczęła po chwili na nowo. — Wyjdę zatem za Brzeskiego, a z chwilą, gdy otrzymam prawo dziedziczenia ten Polak umrze na udar serca z nadmiaru szczęścia, którem go obdarzę.

Mówiąc to, zaśmiała się szatańsko, aż Nilsa mimowoli dreszcz przebiegł po całem ciele.

— Wówczas — rzekła, ciągnąc dalej — wówczas stanę się jedyną dziedziczką zamku Fallenburg z przyległościami i nie stanie nam już nic na drodze, chyba twoja dobroduszna Fanny.

— O to bądź spokojną. Fanny jest słabowita, z pewnością nie dożyje tego. Lecz czy ty mi prawdę mówisz, moja kochana — moja najdroższa? Czy nie drwisz sobie ze mnie?

— Możesz w to wierzyć, lub nie wierzyć — odrzekła niedbale — pozostawiam to do twego uznania, lecz sądzę, iż dałam ci już dostateczne dowody mojej do ciebie miłości — dodała tonem wyrzutu.

— Wierzę ci, wierzę — zawołał, obejmując jej kibić. — Dotychczas nie zawiodłem się nigdy na tobie, sądzę więc, że i na przyszłość się nie zawiodę. Lecz pamiętaj, jeśli tymczasem mnie zdradzisz, moja zemsta będzie tak okrutną, jak okrutnym byłby zawód. Wówczas prócz innych rzeczy, które nie byłyby ci miłe, zabiłbym cię, a wreszcie palnąłbym w łeb i sobie.

— Bądź spokojny, nie dojdzie z pewnością do tego. Lecz czas już zabierać się do domu — rzekła, wstając...

— Kiedyż się znowu zobaczymy? — zapytał Nils, ujmując jej ręce i patrząc jej miłośnie w oczy.

— Nie wiem — odrzekła. — Teraz nie możemy się często widywać, a jeśli się gdzieś spotkamy, musi to pozostać tajemnicą. Zresztą prawdopodobnie za parę dni wyjadę z Brzeskim w podróż, z której już powrócę jego żoną. Nie próbuj odwiedzać mnie, jak dotychczas w Fallenburgu, gdyż mogłoby to zwrócić czyjąś uwagę, a ja sobie teraz tego nie życzę, jeśli zaś zajdzie potrzeba widzenia, prześlę ci wiadomość przez moją wierną pokojówkę Selmę z wyznaczeniem miejsca schadzki.

— Ależ to okrutne z twojej strony — zawołał — ja nie mogę żyć bez ciebie i paru dni, a cóż dopiero o miesiącach a może i latach. Miej przecież litość nademną...

— Przedewszystkiem bądź mężczyzną nie dzieckiem. Zrozum, że dla dobra sprawy tak być musi i zastosuj się ściśle do tego.

Staśkowe szczęście.

Dziwnem dzieckiem był Staś, syn ubogiej praczki z naszej suteryny. Czasem bawił się wesoło jak inne dzieci, czasem jednak zamyślał się, goniąc oczyma chmurki białe, pędzące gdzieś w dal nieznaną i jaskółki śmigłe szybujące w przestworzu. Wtedy ciemne oczy dziecka stawały się niemal czarne, a maleńkie usteczka rozchylały się bezwiednie.

— Czego tam szukasz Stasiu na niebie? — pytano często dzieciaka.

Staś wzdrygał się, jak spłoszony ze snu i nie dawał odpowiedzi.

Ojciec Stasia wyjechał przed dwoma laty do Ameryki, a matka pracowała na utrzymanie jedynaka, krzepiąc się listami męża. Te nadchodziły początkowo dość często, a teraz ustały zupełnie.

Staś rósł pozostawiwiony sam sobie, gdyż matka cały dzień a czasem i do późnej godziny pozostawała za domem. Dziecko nerwowe i wątłe, bało się bardzo tych wieczornych godzin. Nieraz godzinami całemi przesiedział skulony na łóżku, bojąc się odjąć rączek od twarzy, aby nie ujrzeć czego „okropnego". Nieraz z krzykiem wybiegał na podwórze i żadna siła nie zmusiłaby go do powrotu. Pod murem drżąc z chłodu czekał na matkę, która serdecznym pocałunkiem, rozpędzała zaraz strach małego. Najmilszemi były im święta i niedziele, które spędzali razem. Gdy tylko zjedli swój skromny obiad, siadali oboje na łóżku, a Staś przytulony do matki, prosił o bajki. A jakież cudne były te bajki! pełno w nich było i złotowłosych księżniczek i koralowych pałaców, a złota i pereł bez liku. Czasem były i straszne, o smokach i ropuchach, których słuchając Staś, tulił się z całych sił do swej matuli. Czasem jednak nie chciał Staś bajek.

— Mamusiu, opowiedz mi, jak to będzie, gdy tatuś wróci?!

I snuli oboje nić marzeń piękniejszą jak bajkę, bo własną. Staś słuchał, jak to zakupią domek z ogrodem, Staś będzie chodził do szkoły i już nigdy, nigdy sam nie zostanie. Króliki, konik taki własny, żywy, nie odgrywał w przyszłości dziecka tak ważnej roli, jak ta straszna, męcząca samotność, te szmery i cienie wieczorne w nędznej izdebce oświetlonej małą, kopcącą lampką...

O! jakiż był szczęśliwy w te niedzielne popołudnia! Ileż on tajemnic wyszeptał do ucha swej matuli!

— Te chmurki widzą tatusia? — pytał ciekawie.

— Widzą synku, a jakże! widzą!

— To jabym tak usiadł sobie na chmurce, jak na dywanie i zajechałbym het przez te wielkie morza, tam do tatusia! Pocałowałbym go mocno, mocno! i powiedziałbym mu, że nam tu źle bez niego i zaraz wróciłbym do ciebie mamusiu — marzył chłopiec.

Biedne dziecko tęskniło, nie znając nazwy swego uczucia.

Opodal domu siadywała bezzębna, może stuletnia starowinka. Polubiła ona Stasia i za uproszone grosiki kupiła mu często jakiś przysmaczek. Staruszka miała w Stasiu chętnego i cierpliwego a bezkrytycznego słuchacza. Mówiła mu o swej doli, o swem życiu długiem, bo smutnem i trosk pełnem.

— Tak, tak, mój Stasieńku, nie miałam ja szczęścia, ni doli. Nawet śmierć o mnie zapomniała — żyję i żyję, nikomu niepotrzebna — stękała babula.

— A co to babciu to szczęście? — pytał ciekawie Staś.

— Szczęście dziecko? — staruszka zamyśliła się. Nigdy nad tem nie myślała. Szczęściem dla niej był niegdyś kąt spokojny, dom własny, mąż miłujący spokój i ciszę domowego ogniska, potem zdrowe dzieci — a wszystko to było jej niedostępne — dalekie. Dziś pozostała z tych marzeń o szczęściu — tylko garstka popiołu. Cóżto więc może być to szczęście? Spojrzała na Stasia, który patrzył na nią pytająco. Co powiedzieć temu maleństwu, które stawia takie dziwne pytania?! Tak, powie mu bajkę, którą jej kiedyś opowiadano!

— Moja babka, świeć Panie nad jej duszą — zaczęła — niejedno wiedziała i widziała. Mówiła mi nieraz, że szczęście, to ni ptak, ni klejnot drogi, co błyszczy i migoce. Każdy człowiek, gdy się rodzi, otrzymuje od Boga swe szczęście. Czasem zostaje przy nim aż do śmierci i taki człowiek jest szczęśliwy. Częściej jednak ucieka i złapać go nazad trudno bardzo. Kto go jednak złapie, wszystko, co zechce, otrzyma.

— No a gdzie to szczęście się chowa? — badał malec zaciekawiony.

— Podobno w lesie sobie krąży, koło drzew starych, a najwięcej koło takich dębów, co to po tysiąc lat stoją.

Chłopczyna zamyślił się głęboko, aż chmurka zakryła jasne czółko. Słowa starej wpadły mu głęboko w duszę. Widać jego szczęście też go opuściło, bo on chce, aby tatuś wrócił, aby sam nie był, aby się nie bał tak strasznie, a tu nic się nie spełnia. Trzebaby go nazad zdobyć! Ale jak?

Zwierzył się matce ze swych kłopotów, ta zaś roześmiała się, mówiąc:

— Będziesz starszy, Stasiu, to i szczęście swoje znajdziesz.

Staś więc zamknął się sam w sobie, opanowany jedną myślą o owym zbiegu, który tak bez serca opuścił go, a on taki maleńki, taki sam i tak bardzo mu smutno. Chłopak nerwowy z natury, podniecony myślą, która go opanowała, zaczął zapadać na zdrowiu. Matka, której Staś był jedynym jaśniejszym promykiem w życiu, zasięgła porady lekarskiej.

— Chłopak wyczerpany, nadwrażliwy, anemiczny... Trzebaby go koniecznie wysłać w góry — zaopinjował lekarz.

Matka zakrzątnęła się żywo, litościwi ludzie dopomogli i w lipcu wyjechał Staś, z całą gromadką chłopców do kolonji.

Całą drogę był rozgorączkowany i niespokojny. Nie opuszczała go myśl o szczęściu, która wżarła się uparcie w mózg dzieciaka. Po kilkugodzinnej podróży, przybyli chłopcy na miejsce. Pierwsze dnie były pochmurne i dżdżyste, więc chłopcy niewiele wychodzili. Gdy pogoda się ustaliła, wyszli wszyscy na dłuższą wycieczkę do lasu. Las był piękny, przeważnie szpilkowy, uczynił na Stasiu potężne wrażenie. Olbrzymie stare świerki, jodły i modrzewie stanowiły jakby kolumny zaklętego pałacu, a szerokie, barczyste sosny były jakby zamaskowanemi sługami jakiegoś potężnego władcy. Jakiś chłód, powaga i majestat szły od tych kolosów i oddziaływały na wrażliwą duszyczkę chłopca, tak, że bał się i głosu podnieść. Stopniowo jednak ośmielił się i biegał wesoło, zrywając to kwiatek, to poziomkę lub malinę. Idąc coraz głębiej w las, natrafili na piękną polanę, na której rósł olbrzymi, pękaty, rozłożysty dąb-starzec, o wypróchniałym do połowy pniu.

— Patrzcie chłopcy — widzicie go, jaki kolos? Przyjrzyjcie się mu dokładnie. Niewiele podobnych

znajdziecie w Polsce — objaśniał kierownik wycieczki — ten dąb pamięta już z pięćset lat.

Chłopcy podbiegli, otaczając drzewo dookoła. Niektórzy próbowali wspiąć się nań, inni usiłowali zerwać kilka żołędzi, ale te rosły za wysoko, więc odbiegli zniechęceni. Został tylko Staś. Stał pod drzewem cicho, a serduszko biło mu mocno, coraz mocniej, jakby popełnił coś bardzo złego. — „Szczęście, które uciekło, lata w lesie koło dębu" — zabrzmiały mu w uszach słowa staruszki, a głos był tak silny, że mały Staś ze strachem rozglądnął się dookoła.

Czyżby ktoś mówił? Rozglądając się, ujrzał świteziankę. Latała dziwnym trafem wokół dębu, a promienie słońca, padając na jej błoniaste skrzydełka, umalowało je kolorami tęczy. Świtezianka błyszczała, jak drogocenny klejnot. Staś, nie namyślając się długo, wyciągnął rączkę, pewien, że łapie własne szczęście! Owad pofrunął dalej, więc rozpoczęła się gonitwa. Staś mały i niewprawny nie mógł schwytać uciekiniera, który chwilami zdawał się droczyć z dzieckiem: to podlatywał kawałek, to przysiadał, a Staś biegł za nim niestrudzenie, zapędzając się coraz głębiej w las. Dziecko dyszało ciężko, pot spływał mu z czoła, a nóżki tkwiące w sandałkach, zaplątywały się caraz częściej w cierniste, poplątane gałęzie jeżyn, aż spłynęły krwią. Staś jednak nie czuł bólu. Myślał tylko o jednem, aby złapać to skrzydlate szczęście.

Długo trwała ta szalona gonitwa. Już i słońce schyliło się ku zachodowi, a w lesie zaczął panować mrok. Staś zrozpaczony biegł coraz prędzej i na nic już nie zważał. Bał się utracić z oczu swój maleńki cel. Wreszcie zmęczony owad przysiadł na krzaku. Staś podbiegł, wyciągnął rączkę i uchwycił go nareszcie! Równocześnie jednak obsunęła się ziemia i dziecko z głośnym krzykiem spadło w przepaść!

Po kilku dniach znaleziono ciałko Stasia, na dnie głębokiego jaru. Na twarzyczce dziecka zastygł uśmiech szczęścia, a w zaciśniętej rączce znaleziono zduszoną i zmiętą świteziankę. *Marja Waller.*

Poradnik gospodarczy.

Krajowe zioła lecznicze i ich zastosowanie w chorobach ludzkich i zwierzęcych

Cykorja pospolita, Podróżnik cykorja *(Cichorium intibus)* Łodyga prosta, 60 cm. długa, gałęzista. Liście długie, lancetowate, wcinane, gładkie, Kwiaty błękitne, bezogonkowe, po dwa skupione. Rośnie przy drogach na miedzach i gruzach. Korzeń żółty, słodki, rdzeń gorzkawy, zawiera w sobie mleczny sok. Wyjęty w jesieni z ziemi, z naci oczyszczony i w piwnicy w świeżym piasku posadzony, pędzi nowe liście, dostarczające dobrej zimowej sałaty. Liście i młode pędy dostarczają dobrej karmy dla bydła. Korzenie, po odrzuceniu gorzkiego rdzenia bywają używane do mięsnych zup i rosołów, ugotowane i pokrajane w krążki są przyjemnym dodatkiem do sałaty, Korzeń służy jako surogat kawy, lub jako dodatek do niej. Wywar z korzenia działa roztwarzająco, czyszcząco, rozdzielająco i wzmacniająco, stąd używa się go w zaflegmieniu płuc i żołądka, ponadto w chorobach wątroby, śledziony i nerek.



Dr med. *Stanisław Breyer*, Kraków, Wolska 36.

Jak ratować chorą krowę?

Najczęściej u naszych gospodarzy krowy zapadają na różne choroby żołądkowe, powstające z przekarmienia lub z powodu zadawania pokarmów niezbyt zdrowych i niewłaściwie przygotowanych. Najniebezpieczniejszemi objawami zaburzeń żołądkowych u krów jest tak zwane zapieczenie czyli zaparcie stolca i wzdęcie, spowodowane nadmierną fermentacją masy pokarmowej.

W razie stwierdzenia u krowy zapieczenia czyli zatrzymania stolca — należy natychmiast wziąć ją na djetę i zadawać tylko poidło z otrębami, robić częste lewatywy z letniej wody mydlanej, często przeprowadzić krowę po oborze lub po podwórzu, robić rozcieranie brzucha wiechciami ze słomy parę razy dziennie oraz do zewnątrz dać jej do wypicia z kubełka około jednego kilograma soli glauberskiej, rozpuszczonej w paru litrach letniej wody.

Wzdęcie polega na tem, że pod wpływem szybkiej fermentacji pokarmu w żołądku, tak zwanym żwaczu, wytwarzają się gazy w tak wielkiej ilości, że ściany jego ogromnie się naprężają, co może spowodować pęknięcie żołądka i śmierć krowy. Przyczyną wzdęcia mogą być liście buraczane, gryka, owies i wszelki szybko fermentujący pokarm, jak np. koniczyna młoda.

Objawy przy wzdęciu są następujące: raptowne powiększenie się brzucha z lewej strony i miejsce to staje się wygórowane, a przy postukiwaniu, daje odgłos bębna, krowa ma krótki oddech, niepokoi się i błony śluzowe oczu i nosa ma przekrwawione.

W takich wypadkach pomoc musi być natychmiastowa, ponieważ zwierzę może paść z powodu zatrucia gazami lub pęknięcia żołądka.

Jeżeli krowa zachorowała na polu — to należy ją zaraz przyprowadzić do obory, mocno rozetrzeć boki wiechciami ze słomy, postawić krowę zadem wyżej od przodu, wlać do wewnątrz cały litr wody wapiennej ze szklanką wódki, do pyska włożyć powrósło słomiane wysmarowane dziegciem.

Jeżeli wszystkie opisane sposoby nie pomagają, wzdęcie nie ustępuje i wzmaga się coraz bardziej i zachodzi obawa uduszenia się krowy lub pęknięcia żołądka, wtedy nie zwlekając należy przystąpić do przebicia wzdętego boku trójgrańcem, który składa się z metalowej rurki i włożonego w nią sztylecika. Przed użyciem należy w miejscu przebicia, gdzie bok jest najbardziej wygórowany, włosy na skórze wytrzeć i skórę przemyć wodą karbolową lub lizolową zapomocą kawałeczka waty, potem jednem silnem pchnięciem wbija się trójgraniec w słabiznę w wygórowane miejsce w kierunku ku przodowi, krowy, a następnie wyjmuje się z rurki sztylecik, przytrzymując mocno skórę palcami lewej ręki;

rurkę pozostawia się w boku na cały dzień, żeby gazy wychodziły stopniowo. Po wyjściu gazów wkłada się do rurki sztylecik z powrotem, przytrzymuje się skórę lewą ręką i wyjmuje z boku cały trójgraniec. poczem ranę opatruje się jodyną i zasypuje miałką naftaliną, a z wierzchu zakłada się gazę. Przebijana krowa przez dni kilka musi pozostać w oborze i powinna być trzymana na djecie.

KRONIKA.

Termin wycofania jedno i 2-złotówek z obiegu. Na każdej zmianie pieniędzy rozmaici oszuści starają się zrobić dobre interesa. Tak jest i obecnie wskutek wycofania z obiegu jedno i dwu złotówek srebrnych. Różni oszuści starają się je wykupywać po znacznie zniżonej cenie, aby potem osiągnięty stąd zysk schować do własnej kieszeni. Otóż zaznaczyć należy, że tak jedno jak i dwu złotówki, których wycofanie władze zarządziły, posiadają nadal pełną wartość, z tem jednakże, że 1-złotówki wykupują tylko oddziały Banku Polskiego po pełnej cenie do końca 1934 roku, poczem będą miały tylko wartość srebra, natomiast 2 złotówki srebrne (te większe) muszą być przyjmowane po pełnej cenie w obiegu po koniec stycznia b. r., poczem będą je wymieniały po pełnej wartości tylko oddziały Banku Polskiego do 31 stycznia 1935 r. Po tym terminie będą miały tylko wartość srebra. Co do pięciozłotówek (tych większych) nie zostało dotychczas wydane żadne zarządzenie. więc obieg ich nie został wcale ograniczony.

Przydział cukru dla pszczół. Ministerstwo skarbu przyznało na rok 1933 przydział skażonego cukru dla pszczół w ilości 2 kilogramy na pień dla wiosennego podkarmiania pszczół. Podania, poświadczone przez urząd gminny, należy wnosić do spółdzielni pszczelarzy „Pszczoła“ we Lwowie, ul. Kopernika 20. Cenę za kilogram oznaczono na 60 groszy. Z naszej strony zaznaczyć musimy, iż nie jest to żadne dobrodziejstwo. Wprawdzie w cukrze ma być tylko 8 procent piasku i trocin, ale w rzeczywistości jest ich znacznie więcej, ponadto cena z przesyłką wyniesie powyżej 90 groszy za kilogram takiego zanieczyszczonego cukru, wobec czego po ewentualnem oczyszczeniu go dojdzie do normalnej ceny cukru czystego. Syrop z takiego cukru, zanieczyszczony trocinami bukowemi, pszczoły biorą niechętnie. Słowem jest to tylko pozorne dobrodziejstwo, które w rzeczywistości żadnem dobrodziejstwem nie jest.

Wielki pożar w Białej. W piątek 21 b. m. o godzinie 7 wieczorem wybuchł w domu Henryka Tantejskiego w Białej ul. św. Jana pożar. Rozszerzył on się szybko na sąsiednie domy Jana Tomery i Jana Kwaśnego. Straże pożarne z Białej, Bielska i Lipnika ugasiły ogień po trzech godzinach. Szkody wynoszą kilkadziesiąt złotych. Powód pożaru niewiadomy.

Egzekucja z przeszkodami. Do Józefa Szabatowskiego w Ożarowie w powiecie nowosądeckim przybył egzekutor wraz z posterunkowym, aby zabrać już poprzednio zasekwestrowaną świnię. Szabatowskiemu żal było oddać świni, więc postanowił ją raczej uśmiercić, aniżeli rozstać się z nią nazawsze. Porwał więc za siekierę i chciał nią zabić biednego czworonoga. W ostatniej chwili przeszkodził temu policjant, ale sam otrzymał za to bolesny cios obuchem w rękę. Szabatowski, widząc, że nietylko mogą mu wziąć świnię, ale z nią i jego samego. dał drapaka i ukrył się przed aresztowaniem.

Aresztowanie dyrektora banku. W Rzeszowie aresztowano Chaima Teppera, dyrektora Kasy kredytowej dla handlu i przemysłu w Przemyślu. Kasa ta miała poprzednio siedzibę w Rzeszowie, poczem przeniesiona została pod tą samą nazwą do Przemyśla. Powodów aresztowania policja dotychczas nie podała.

Pożar na dworcu kolejowym w Przemyślu. W kiosku z dziennikami Towarzystwa „Ruch“ na dworcu kolejowym w Przemyślu wybuchł pożar. Pożar powstał od małej lampki i objął momentalnie cały kiosk, w którym znajdowały się książki, gazety i przybory do palenia. Straży pożarnej i kolejarzom udało się pożar umiejscowić, ale kiosk z całą zawartością spłonął zupełnie.

Niepokojące zajścia w cerkwiach unickich. We wsi Świerzowa Ruska w powiecie jasielskim, której prawosławna ludność odnosi się bardzo nieżyczliwie do cerkwi unickiej wskutek rozpolitykowania księży ruskich, wydarzył się niezwykły wypadek, świadczący o naprężeniu stosunków na Łemkowszczyźnie. Oto nieznani sprawcy weszli w nocy do cerkwi i wynieśli z niej cały inwentarz z zamiarem przyozdobienia nim kaplicy prawosławnej. W tym samym mniej więcej czasie wyniesiono obraz z głównego ołtarza w cerkwi w Nieznajowie w powiecie gorlickim. Zajścia takie rozdrażniają przeciwko sobie ludzi jednej narodowości, a dwóch różnych wyznań i mogą doprowadzić do smutnych następstw.

Pożar domu „nawiedzonego przez duchy“. W Rudańcach pod Lwowem spalił się opustoszały dom, o którym utrzymywano, że jest on nawiedzony przez duchy. Po śmierci właściciela tego domu 66 letniego Jana Szybeczka w domu tym poczęło coś „straszyć“ tak, że wdowa po zmarłym ze strachu dom opuściła. Zagnieździli się w nim włóczędzy i oni to byli powodem wiary tamtejszego ludu, że w domu tym coś straszy. Zdaje się, że właśnie ci włóczędzy spowodowali pożar owego domu. Charakterystyczną jest rzeczą, iż mieszkańcy Rudaniec nie chcieli za żadną cenę gasić pożaru.

Wilki pod Lwowem. Pod powyższym tytułem podaliśmy w poprzednim numerze „Roli“ wiadomość, iż w Sokolnikach pod Lwowem pojawiły się wilki. Jak się obecnie okazuje, wiadomość ta była niezupełnie ścisła. W Sokolnikach na podwórzu tamtejszego probostwa rzeczywiście zabito wilczycę, która pokąsała dwa psy, ale była to oswojona wilczyca jednego z oficerów, która zbiegła z domu i zabłąkała się do Sokolnik. O innych wilkach w okolicach Lwowa zupełnie nie słychać.

Tajna poczta prywatna. Ponieważ, jak wiadomo, opłaty pocztowe są u nas zbyt wygórowane, przeto ludzie radzą sobie, jak mogą, aby ich uniknąć. Przedewszystkiem korespondują ze sobą niewiele, a do wydatniejszej korespondencji nikt ich zmusić nie może. Ci, którzy muszą więcej korespondować, wysyłają listy przez znajomych i t. p. Z tej drożyzny skorzystało we Lwowie Tow. Ruch Promet i zorganizowało pocztę prywatną, oczywiście tajną, zapomocą której można było wysyłać listy, paczki i t. p. za niższą opłatą. Władze jednak wykryły tę pocztę i przeciwko winnym wszczęły dochodzenia.

Samobójstwo z powodu wyrzutów sumienia. W styczniu ubiegłego roku 22 letni Klemens Szkudło zamordował służącą Rozalję Pielasównę i parobka Stefana Piechę w zagrodzie gospodarza Augustyna Szutera w Zawiści w powiecie pszczyńskim, przyczem zrabował 1.770 złotych. Zbrodniarz za swój czyn stanął przed sądem i został skazany na karę śmierci przez powieszenie. Karę tę jednak Pan Prezydent darował mu, zmieniając ją na dożywotnie więzienie. Wobec tego morderca został osadzony w znanem w Polsce więzieniu świętokrzyskiem. W więzieniu Szkudło chodził przygnębiony i był małomówny. Trapiły go wyrzuty sumienia, których nie mógł znieść. Aby się od nich uwolnić, przygotował sobie sznur i powiesił się na kracie okna celi.

Zamożny gospodarz hersztem bandytów. W Nowy Rok dokonano w Książnicach Wielkich w powiecie

pińczowskim krwawego napadu bandyckiego na mieszkanie Wiktorji Dońcowej, przyczem zbrodniarze zrabowali 100 złotych i zastrzelili jej syna Stefana. Obecnie policja ujęła całą szajkę bandytów, na czele której stał zamożny gospodarz z Książnic, Stefan Marzec, a należeli do niej synowie również zamożnych gospodarzy: Stanisław Marzec, Władysław Ostrowski, Narcyz Pasternak z Brzeska Starego i Jan Stefański z Hebdowa. Szajka ta dokonywała już od dłuższego czasu napadów rabunkowych w okolicznyah wsiach i na kupców przejeżdżających z Krakowa do Brzeska i Koszyc.

Włamanie do starostwa. W nocy dokonano śmiałego włamania do biura starostwa i wydziału powiatowego w Wierzbniku w wojew. kieleckiem. Sprawcy po otwarciu wszystkich pokoi splądrowali biurka i szafy, poczem wynieśli kasetkę żelazną i rozbili ją w odległości około 200 metrów od gmachu starostwa. W kasetce tej miało się znajdować kilkanaście tysięcy złotych, które padły łupem opryszków. Ponądto z biurka urzedniczki Łosiowej skradli złodzieje 20 złotych.

Aresztowanie handlarzy żywym towarem. Policja w Łodzi wpadła na trop sensacyjnej afery handlu żywym towarem. Mianowicie policji łódzkiej udało się ująć jedną z czołowych postaci ze świata handlarzy żywym towarem, 21-letnią Mindlę Merin Merinową. Jako funkcjonarjuszka szeroko rozgałęzionej organizacji handlu żywym towarem, przebywała przez dłuższy czas we wszystkich niemal stolicach Europy, a ostatnio operowała na terenie Gdańska. Przed kilku dniami, bawiąc w Łodzi, poznała dwie młode dziewczyny, w wieku 19 i 20 lat, których nazwiska trzymane są narazie w tajemnicy. Merinowa zaproponowała im posadę w swym rzekomym „instytucie piękności" w Gdańsku i wypłaciła im nawet zaliczki. W ten sposób zdobyła całkowicie ich zaufanie. Na wszystko to zwróciły jednak uwagę rodziny dziewcząt. Merinową zaczęto śledzić, poczem aresztowano ją w mieszkaniu jej brata. W rezultacie dochodzeń zdołano przytrzymać jeszcze jednego agenta, współdziałającego z Merinową. W Piotrkowie aresztowano ponadto niejakiego Arona Noimana, który należy również do wspomnianej szajki handlarzy żywym towarem.

Tajemnicze zniknięcie przemysłowca. Znany przemysłowiec łódzki, p. Padowicz, znikł nagle z Łodzi. Co się z nim stało, nie wiedziała o tem ani najbliższa jego rodzina. Krążyły o tem najrozmaitsze pogłoski, gdyż p. Padowicz w ostatnich czasach podpisywał większą ilość weksli, których w oznaczonym czasie nie miał kto wykupić. Wreszcie nadszedł od p. Padowicza list z zagranicy, że wyjechał on w świat, aby tam popełnić samobójstwo. Policja zwróciła się natychmiast do tej miejscowości, z której list był wysłany, aby zapobieżono samobójstwu, ale stamtąd przyszła odpowiedź, że pomimo energicznych poszukiwań nie znaleziono żadnego śladu, świadczącego o pobycie tam p. Padowicza. Co się z nim stało, dotąd niewiadomo.

Nadmiar lekarzy. Do niedawna zawód lekarski był jednym z najpopłatniejszych zawodów, a lekarze robili niejednokrotnie duże majątki. Obecnie i pod tym względem zmieniło się znacznie. Wprawdzie jeszcze wielu lekarzy ma dość dużą praktykę i na brak pacjentów się nie uskarża, ale mniej sławni cierpią niejednokrotnie nędzę. Stwierdza to np. Izba lekarska w Łodzi. W Łodzi jest obecnie 500 lekarzy, z których 370 ma odpowiednią praktykę, natomiast 67 ma tak skromne dochody, że z nich wyżyć nie może, zaś 63 nie posiada żadnej praktyki, a więc i dochodów żadnych nie ma. Dzieje się to nie dlatego, jakoby ludzie mniej chorowali, ale dlatego, że nawet chorzy z powodu braku pieniędzy nie mogą sobie pozwolić na pomoc lekarską.

Przypadkowe schwytanie groźnego bandyty. Policji warszawskiej udało się schwytać jednego z najgroźniejszych bandytów, który przez czas dłuższy poszukiwany był przez władze śledcze. Około 2 po południu wtargnął do sklepu spożywczego przy ulicy Tykocińskiej jakiś rabuś, uzbrojony w rewolwer. Usiłował on obrabować kasę sklepu. Ponieważ właścicielka stawiała opór, bandyta dał do niej strzał, który jednak na szczęście chybił. Odgłos strzału usłyszeli dwaj przechodzący policjanci, którzy wpadli do sklepu. Bandyta z kolei chciał strzelać do policjantów, został jednak ubezwładniony i rozbrojony. Okazało się, iż był to od dłuższego czasu bezskutecznie poszukiwany groźny bandyta Józef Korzon Bandytę, skutego, odstawiono do więzienia.

Zgubiony skarb, który nie zginął. Józef Raszewski, kupiec z kresów wschodnich przybył do Warszawy po zakupy, przywożąc ze sobą pokaźną sumę pieniędzy, bo aż 200 tysięcy złotych. Obawiając się, aby mu w drodze owych pieniędzy nie skradziono, zaszył je w marynarce. Przy sposobności chciał się nieco zabawić. Zaraz po przyjeździe poznał on na ulicy wesołą panienkę i zaprosił ją na kolację. Tak był jednak ostrożny o swe pieniądze, że za kolację nie zapłacił gotówką, ale pozostawił jako zastaw, swój zegarek. Podchmielonego kupca opuściły w czasie kolacji zapały miłosne. Pożegnał się z panienką i udał się sam do hotelu. Tu począł szukać po kamizelce zaszytego woreczka i spostrzegł z przerażeniem, że go tam niema. Wybiegł zrozpaczony na ulicę, dopadł samochodu i począł po mieście szukać owej towarzyszki niedawnej kolacji, będąc pewny, że dziewczyna wyciągnęła mu ukryte pieniądze. Wyprawa powiodła mu się, gdyż po niedługim czasie napotkał ową panienkę i oddał ją w ręce policji. W komisarjacie policji zameldował, że towarzyszka jego przygodna skradła mu 200 tysięcy złotych. Dziewczynę zatrzymano w areszcie, kupiec udał się do hotelu. Wytrzeźwiawszy przez noc, dopiero się przekonał, że nikt mu pieniędzy nie skradł, gdyż znajdowały się one dalej zaszyte w marynarce, a nie w kamizelce, gdzie ich szukał po pijanemu. Oczywiście aresztowaną uwolniono, a kupiec wręczył jej pewną kwotę, jako odszkodowanie za posądzenie.

Niewinnie posądzony o ojcostwo. Pewna studentka w Warszawie wytoczyła jednemu z tamtejszych dziennikarzy proces o ojcostwo bliźniąt, które niedawno powiła. Dziennikarz ów, dostawszy akt oskarżenia, zdziwił się bardzo, gdyż nigdy owej oskarżycielki na oczy nie widział, a co za tem idzie, nie mógł sobie wytłomaczyć, w jaki sposób mógł zostać ojcem jej dzieci. Przypuszczał więc, że „panienka" owa zmyśliła sobie, że on jest ojcem jej dzieci, aby wyłudzić od niego nieco grosza. Zażądał więc od władz, aby go skonfrontowano z oskarżycielką. Życzeniu jego stało się zadość. Sprawa wówczas wzięła niezwykły obrót, okazało się bowiem, że i „panienka" nie znała zupełnie rzekomego ojca swych dzieci. Jak stwierdzono następnie, jakiś zręczny oszust podszył się pod nazwisko owego dziennikarza, żyjącego najprzykładniej ze swą żoną, rozkochał w sobie ową dziewczynę i doprowadził ją do nieszczęścia. W czasie ich znajomości posługiwał się biletami wizytowemi z nazwiskiem owego dziennikarza, czem jeszcze bardziej wprowadził w błąd ową nieszczęśliwą ofiarę. Obecnie biedna matka dwojga bliźniąt daremnie zapewne będzie szukała ojca swych dzieci.

Wyrok śmierci na morderców. W poprzednich numerach „Roli" pisaliśmy o bestjalskiem zamordowaniu księdza Masłowskiego w Poznaniu i o ujęciu jego morderców w osobach Bednarczyka i Grelki. W ubiegłym tygodniu obydwaj zbrodniarze stanęli przed sądem doraźnym w Poznaniu. Na rozprawie Bednarczyk przy-

znał się do popełnionej zbrodni, natomiast Grelka wypierał się do ostatniej chwili, chociaż świadkowie stwierdzili niezbicie, że brał on udział w zamordowaniu nieszczęśliwego kapłana Wobec tego sąd wydał wyrok skazujący obydwu zbrodniarzy na karę śmierci przez powieszenie. Obrońcy ich odnieśli się wprawdzie do Pana Prezydenta o ułaskawienie ich, ale Pan Prezydent z prawa łaski nie skorzystał, wskutek czego obydwaj zbrodniarze zawiśli na szubienicy w dniu 18 b. m.

Straszna śmierć dziewczynki. W miejscowości Badecz powiatu wyrzyskiego w zagrodzie Geblera zdarzył się tragiczny wypadek. Gdy ojciec zajęty był w stodole młocką zboża, a matka dojeniem krów w oborze, kilkuletni ich synek chwycił z półki butelkę z okowitą i wylał ją do rozpalonego pieca. Nastąpił silny wybuch. Przyglądająca się temu 2 letnia córeczka Geblerów stanęła nagle w płomieniach i z krzykiem wybiegła na podwórze. Ojciec, widząc, co się dzieje, wypadł ze stodoły i przydusił na dziecku płomienie, owijając je we własną kurtkę. Dziecko uległo jednak tak silnym poparzeniom, że wkrótce po wypadku zmarło. Rozpacz rodziców nie ma granic.

Tajemnicza śmierć małżonków w Bydgoszczy. W domu przy ul. św. Florjana w Bydgoszczy znaleziono w stanie rozkładu zwłoki 46 letniego konduktora kolejowego Ludwika Łukaszewicza i jego żony 36 letniej Anny. Dochodzenia ustaliły, że trupy leżały w mieszkaniu od 3 stycznia. Dnia 2 stycznia Łukaszewicz zgłosił się jako chory i od tego czasu nie widziano go, ani jego żony. Nieobecność w służbie Łukaszewicza i okoliczność, że nie przedłożył świadectwa lekarskiego, wzbudziła podejrzenie władz kolejowych. Zawiadomiono policję, która, wszedłszy do mieszkania Łukasiewiczów, znalazła zwłoki obojga małżonków. Zachodzi tu prawdopodobnie wypadek zaczadzenia albo zatrucia mięsem.

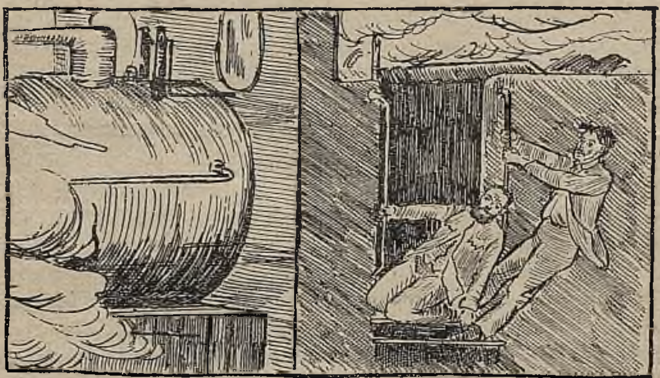
Dziesięcioletni bohater. Na jeziorze niedaleko Nowejwsi w powiecie grudziądzkim ślizgał się na lodzie 5 letni Jaś Pachowiak, któremu jednak cienki lód załamał się pod nogami. Malec zaczął tonąć. Spostrzegł to przechodzący przypadkidm 10 letni Tadeusz Topolnicki, uczeń 4 klasy szkoły powszechnej, który pospieszył bez wahania tonącemu na pomoc i z narażeniem życia uratował tonącego.

Przejście na judaizm. Że żydzi przyjmują chrzest święty, zdarza się to bardzo często, ale do rzadkości należy, aby katolik przechodził na wyznanie izraelickie. Bywają wypadki, choć rzadkie, a mają one wtenczas miejsce, jeżeli w grę wchodzi miłość pomiędzy dwoma osobami różnych wyznań. Obecnie zdarzył się taki wypadek przejścia katolika na wyznanie żydowskie w Lublinie. Dokonał go 40 letni Antoni Raczyński, zajmujący stanowisko tak zwanego obrońcy w Puławach. Ceremonji obrzezania dokonano w szpitalu w Lublinie, poczem świadkowie tego obrzędu udali się na rybkę do miejscowego rabina. Dodać należy, że Raczyński wprawdzie jeszcze jako młodzieniec zakochał się w pewnej żydóweczce i odtąd powziął myśl przejścia na judaizm. Z powodu różnic religijnych nie ożenił się z nią, gdyż żydzi nie chcieli go wówczas przyjąć w grono swoich wyznawców. Dopiero teraz po długich staraniach uzyskał przyjęcie, choć dawna jego umiłowana już zapomniała o nim, wyszedłszy za kogo innego za mąż.

Wielki pożar fabryki. W Orzewie, powiat Równe, spaliła się fabryka parkietów, własność Janusza ks. Radziwiłła. Straty wynoszą 600.000 złotych. Przyczyna pożaru niewiadoma.

Wędrówka ludów w Rosji. Pod pozorem rejestracji ludności w Rosji rozpoczęło się przesiedlanie miljonów ludności z dotychczasowych miejsc pobytu. Wskutek tego wielu zamożniejszych włościan zostanie przesiedlonych do okręgów fabrycznych, wielu mieszkańców miast zostanie przesiedlonych przymusowo do kopalń itp. Nie trzeba dodawać, iż takie przesiedlenie będzie niemal dla wszystkich przesiedlonych prawdziwą klęską.

Między życiem a śmiercią. Pociąg pospieszny, idący z Wiednia, znajdował się już o kilkadziesiąt kilometrów od stolicy, kiedy nagle pękła tylna ściana kotła lokomotywy, skutkiem czego z rezerwoaru buchać poczęła gęsta para, parząc dotkliwie maszynistę i palacza. Obaj poparzeni, ratując się przed śmiercią, skoczyli na bok i schronili się na stopnie lokomotywy, gdzie wisząc nieledwie w powietrzu, szukali sposobności ratunku. Pociąg tymczasem pędził naprzód całą siłą, mijając po drodze drobne stacje. Po pewnym czasie położenie obu ofiar wypadku stało się wprost okropne.



Osłabieni ranami, tracili przytomność i siły i lada chwila runąć mogli ze schodków na tor, gdzie ich czekała nieuchronna śmierć. O powrocie na maszynę mowy być nie mogło, gdyż tego wzbraniała nieprzerwanie buchająca para. Mimo to maszynista, ratując siebie i nie wiedzących o niczem podróżnych, zdobył się na krok bohaterski. Nie zważając na rany, ostatkiem sił wdrapał się z powrotem na maszynę, wśród dotkliwego bólu przedarł się przez gęste kłęby pary do regulatora i wypuścił wszystką parę, skutkiem czego pociąg zwolnił biegu a następnie stanął. Dzielnego maszynistę jak i palacza przewieziono do najbliższego szpitala.

Klątwa papieska. W dawniejszych czasach klątwy papieskie, rzucane na rozmaite osoby, zdarzały się dość często. W nowszych czasach przez lat wiele nic o nich słychać nie było. Tem większe wrażenie wywarła klątwa Ojca św. rzucona na „Sokołów" jugosłowiańskich za działalność antykatolicką. List pasterski biskupów katolickich w Jugosławji, odczytany we wszystkich kościołach katolickich całego kraju, w którym organizacja „Sokoła" uznana została za antykatolicką, wobec czego spadła na nią klątwa Ojca św., wywołał w całej Jugosławji olbrzymie wzburzenie. W szeregu miejscowości doszło do poważnych starć między członkami „Sokoła" a ludnością katolicką, podczas których szereg osób zostało ciężko zranionych. W związku z temi zajściami władze bezpieczeństwa aresztowały kilku księży, stojących pod zarzutem podjudzania ludności do czynnych wystąpień przeciw członkom „Sokoła". Kilku duchownych skazanych zostało bez sądu na kary aresztu po 14 dni. Jak wiadomo, z tym, kto został obłożony klątwą, nie wolno żadnemu katolikowi rozmawiać, nie wolno mu udzielać żadnych Sakramentów św. i t. p., póki z niego klątwa nie zostanie zdjęta.

Śniegi we Włoszech. W północnych Włoszech spadły olbrzymie śniegi. Komunikacja napotyka na olbrzymie trudności. W Medjolanie pracują pługi śnieżne przez cały dzień nad oczyszczaniem ulic i szyn tramwajowych. Pociągi przybywają z wielkiemi opóźnieniami.

Katastrofalne oberwanie się skał. W miejscowości Roche Corbon koło Tour we Francji obsunął się skalisty stok góry, zasypując częściowo 4 domy. Trzech mieszkańców zostało zabitych, a wielu odniosło rany. Jak obliczono, obsunęło się około 20 tysięcy ton ziemi i głazów. Pozostała część góry grozi również zawaleniem się, wobec czego podjęto środki ostrożności.

Groźby największego wulkanu. Najpotężniejszy wulkan na świecie Krakatau znajduje się w stanie groźnego wybuchu, wyrzucając z siebie lawę na wysokość 1.000 do 1.500 metrów. Ludność w panicznym strachu ucieka. Należy się obawiać, że wulkan stać będzie straszliwe zniszczenie. W roku 1883 w czasie jego wybuchu straciło życie 35 000 osób.

Rzeczy ciekawe.



Katastrofa w kopalni. W kopalni Mobeaqua w stanie Illinois w północnej Ameryce nastąpiła katastrofalna eksplozja, której ofiarą padło 54 robotników. Pospieszono im natychmiast na ratunek, ale nie udało się nikogo ocalić. Na obrazku naszym widzimy moment, kiedy z pod ziemi wynoszą pierwszą ofiarę na światło dzienne. Około wejścia do kopalni zgromadziły się tłumy publiczności, która, przejęta tym smutnym wypadkiem, z drżeniem serc oczekiwała na ukazanie się dalszych ofiar tej strasznej w skutkach katastrofalnej eksplozji.

Zimowy letarg owadów.

Przyjemną stroną zimy jest to, że w tej porze roku ma się spokój od tak dokuczliwych w lecie owadów. Natrętne muchy nie wpadają do potraw i nie mącą nam snu nad ranem. Owady zdają się nie znosić zimna i znikają nam z oczu.

Lecz z wiosną pojawiają się znowu. Co się z niemi dzieje przez zimę?

Większość owadów rozwiniętych ginie w czasie zimy. Pozostają tylko ich poczwarki, czasem gąsienice lub jajka. Niektóre owady przepędzają zimę w postaci doskonałej i popadają w letarg. W tym stanie pozornej martwoty wytrzymują one nawet kilkunastostopniowe mrozy.

Tu i ówdzie można wśród gałęzi śniegiem pokrytego drzewa napotkać pajęczynę, na której obok dorosłych pająków widać ledwo wylęgłe młode. Wyglądają one jak bez życia, ale przeniesione do ciepłego miejsca wkrótce zaczną się poruszać. Motyl cytrynka przepędza też zimę uczepiony do spodu jakiegoś zeschłego liścia i podrywa się do lotu, gdy tylko pierwsze promienie słońca wiosennego temperaturę podniosą. Owady żyjące gromadnie jak np. pszczoły lub mrówki, zbijają się w czasie zimy w większe stadka włażąc jedna za drugą i grzejąc się wzajemnie.

Tę swoją odporność na zimno zawdzięczają owady — w pierwszym rzędzie temu — że płyn znajdujący się w ich ciele nie zamarza tak łatwo. Soki ludzkiego ciała zamarzają w temperaturze bliskiej zera.

Soki ciała owadów są na mróz odporne jak gliceryna lub alkohol, zamarzając dopiero przy mniej więcej trzydziestu stopniach. Toteż zdarza się czasem, że któryś z owadów mieszkających w wodzie zostanie uwięziony przez lód, obmarzający dokoła ciała owada. Jednakże gdy lód się stopi, a woda z niego pozostała ogrzeje, zamrożony owad powraca do życia.

Mimo tę swą odporność popadają owady pod wpływem zimna w rodzaj letargu i stanowią w tym stanie łatwą zdobycz dla zimujących u nas ptaków.

Taniec przebiegłych czarowników.

W sierpniu, miesiącu największej suszy odbywają się u Indjan szczepu Hopi, zamieszkujących stepy Arizony, ceremonje tańca z wężami dla uproszenia deszczu. Amerykanie w czasie tym zjeżdżają z wszystkich stron na to widowisko niby na przedstawienie cyrkowe.

Na dziewięć dni przed rozpoczęciem ceremonji ogłasza się podziemną komnatę jako Kiwa czyli miejsce święte, do którego dostęp mają tylko kapłani. W komnacie tej znajdują się święte węże, wykąpane przez kapłanów przechowywane aż do rozpoczęcia ceremonji. Ceremonje rozpoczynają się przed wschodem słońca przy coraz szybszem warczeniu bębnów. Nasamprzód pojawia się 12 kapłanów, z szczepu Iopi o pomalowanych twarzach i ciałach. Z pochylonemi głowami zbliżają się w rytmie tańca do świętej komnaty i następnie wracają powtarzając tę ceremonję kilkakrotnie, aż wreszcie stają przed

bramą świątyni, strzeżoną przez ośmiu kapłanów pomazanych popiołem.

Wśród ogólnego napięcia otwiera się brama świątyni, w której pojawia się kapłan, trzymający w zębach węża — grzechotnika. Za nim postępuje, trzymając ręce na jego ramionach drugi kapłan, który muska węża piórkiem, usiłując zbudzić jego zainteresowanie. Za tą parą postępuje trzeci kapłan, któremu przypada trudne zadanie, uchwycenia węża, gdyby zdołał się oswobodzić. Coraz więcej kapłanów z grzechotnikami w zębach wychodzi z Kiwy, okrążając w korowodzie plac przed świątynią.

Wśród dzikiego warkotu bębnów i hałasu rozmaitych instrumentów muzycznych rozpoczyna się egzotyczny taniec z wężami. Dziwnym sposobem nieraz jeszcze w ciągu trwających ceremonij spada obfity deszcz.

Wrażenie jest w każdym razie niezwykłe.

Jak się dzieje, że po tańcu z wężami spada deszcz, i dlaczego niebezpieczne węże nie ukąszą kapłanów, o tem zdania są podzielone. Co do deszczu, przypuszcza się, że kapłani są obeznani z warunkami meteorologicznemi i że naznaczają ceremonje na dzień, w którym według ich obliczeń spadnie deszcz. Co zaś do wężów, to znawcy utrzymują, że płazy te są w gruncie rzeczy bardzo bojaźliwe i nikomu nie wyrządzają krzywdy, kto potrafi się z niemi obchodzić. Zresztą posiadają Indjanie odtrutkę przeciwko ukąszeniu żmiji. Wtajemniczeni utrzymują też, że kapłani posługują się przy swych ceremonjach wężami oswojonemi.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs „Roli“ otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Dla Ojczyzny“, „Sieroca dola“, „Przygoda pana Jacka“, „Mówiono mi“, „Tajniki oceanów“, „O krainach suszy i krainach powodzi“. Przypominamy, iż termin konkursu upływa dnia 31 bm. Utwory nadane na pocztę po dniu 31 bm. nie będą zaliczone do prac konkursowych, ale ocenimy je, jako utwory zwykłe. — **Walenty Pasierb** w C.: Za poświęcony mi wierszyyk serdecznie dziękuję. Będę stanał się wkrótce go zamieścić. — **Wincenty Pająk** w K.: Listy od pszczelarzy nadzwyczaj lubię czytać, gdyż wszystko, co dotyczy naszych kochanych pszczółek, bardzo mnie interesuje. Bardzo mnie cieszy, że z matki od p. Piwowarskiego, jak i z węzy od p. Radomskiego jest Pan zadowolony. Pszczoły kaukaskie okazują się znakomite, nie wyklucza to jednak, że i pomiędzy nimi może się trafić jakaś matka do niczego. Węza od p. Radomskiego jest nietylko doskonała, ale również tańsza, aniżeli gdzieindziej. Co do cierpkości miodu z Pańskiej miodarki, to przypuszczam, iż jest on tylko początkowo cierpki. Możeby dobrze było wyparzyć miodarkę wrzącą wodą. Że pszczoły w grudniu wylatywały, to nic nie szkodzi. Oczyściły się, a wskutek tego lepiej przezimują. Do szopy na zimę ule można wnosić, ale szopa musi być ciemna. Zasłoni ona je od zbyt zimnych wiatrów i utrzyma w większej ciepłocie, przez co spożyją mniej miodu. Dopływ jednak świeżego powietrza być musi. Łączę serdeczne pozdrowienia i życzenia powodzenia w pszczelarstwie. — **Kazimierz Malawski** w Z.: Każdy z czytelników, jeżeli tylko stara się o to, może zjednać przynajmniej jednego prenumeratora. „Rola“ daje tyle ciekawych wiadomości, że wydatek na nią nie jest nigdy zaduży. Za poparcie serdecznie dziękujemy. — **Bronisława Bucałówna** w S.: Maciuś za pozdrowienia dziękuje. Gdy będzie przejeżdżał przez S., to odwiedzi

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.

Zagadki do nagrody.

1. Metamorfoza.

(Ułożył Piotr Bibro z M.).

K	o	s	z
L	a	w	a

Wyraz „kosz“ zmienić na wyraz „ława“ zmieniając stopniowo po jednej literze. Podać wyrazy pośrednie.

2. Zagadki.

I.

Co to za drzewo, co zimą i latem
Zawsze z jednakowym kwiatem?

II.

Gdy trzecie pierwsze na świat zawita,
Każdy za kosę lub sierp chwyta;
Wszyscy wychodzą na drugie trzecie,
A czem jest całość przecie zgadniecie.

3. Szarady.

(Ułożył G. Koniorczyk).

I.

Trzecie czwarte w dawnych czasach
Rej wodziły w naszych lasach,
Drugą Francuz wraz wypowie
Wyrażając wstręt w swej mowie,
Pierwsze zaś trzecie i czwarte
Dla malarza wiele warte.
Całość chętnie każdy zjada,
Jeśli przysmak ten posiada.

II.

(Ułożył „Górnik“).

Pierwsze z trzeciem to w przyszłości
Nadzieja polskiej ludności,
Drugie trzecie zwierzę znane tuż
Przy tundrach chodowane.
Całość to stworzenie Boże,
W głębiach swych kryje morza.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył „Górnik“).

a	a	g	g	Ptak.
k	k	k	u	Zatoka na morzu Bałtyc.
p	r	r	r	Rola nieuprawiona.
r	u	u	v	Ryba.

5. Łamigłówka literowa.

(Ułożył Władysław Sobierajski).

M, d, d, ę, g, i, i, ł, ć, o, o, o, r, ś, z, z.

Z powyższych liter ułożyć znane przysłowie zaczynające się od litery M.

6. Tajemniczy bilet.

(Ułożył Piotr Bibro z M.).

Icek Darzbaum

Ułożyć imię i nazwisko humorysty.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 31 utego br.

Znaczenie zagadek z Nru 3 „Roli“: 1. Trójkąty magiczne: Bassara, 2. Szarady: I. Rumunja. II. Baranów. III. Szatan. 3. Tajemnicze bilety: I. Lakiernik, II. Redaktor „Roli“.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Wojciech Kuźma z K., Władysław Pocięgiel z K., Tomasz Tiszler z S. S., Józefa Tisznerowa z S. S., Jan Wojtermin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 3 lutego br. Henryk Gniewek z Rz., Bronisława Bucałówna z S., Teofil Burman z K., Zygmunt Warchoł z T., Feliks Popielarczyk z S., Edmund Chowaniec z K., Dominik Buchała z Z., Stefan Buchała z Z.

Nagrody otrzymają pp.: Zofja Jarolimówna z D. i Władysław Pocięgiel z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wesołe anegdoty o skąpstwie Szkotów.

Zdaniem Anglika — każdy Szkot jest chorobliwym dusigroszem, który trzy razy obraca w palcach grosz, zanim go wyda. W rzeczywistości, twierdzenie to jest mocno przesadzone.

Szkot jest tylko oszczędny i nie lubi ciężko zapracowanych pieniędzy rozrzucać pańskim gestem na prawo i lewo. Mimo to, Szkoci są tak przyzwyczajeni do tej opinji o sobie, że nietylko się z niej śmieją, lecz nawet sami wymyślają coraz to nowe anegdoty, ilustrujące tę cechę narodową.

Oto kilka takich historyjek:

Pewien Szkot zaręczył się; narzeczona jego jednak tak się roztyła, że chciał z nią zerwać. Cóż, kiedy nie mogła już zdjąć pierścionka z palca — więc Szkot musiał się z nią ożenić.

*

Właściciel wielkiego magazynu towarów bławatnych w Glasgow wygłasza do podwładnych takie przemówienie:

— Z wielką radością mogę panom oświadczyć, że ubiegły rok handlowy przedstawiał się bardzo pomyślnie. Wobec tego, kazałem każdemu z panów wystawić czek opiewający na 10 funtów. I jeżeli rok przyszły będzie równie pomyślny, będę mógł panom owe czeki podpisać...

Zagadka.

Polak, Francuz i Niemiec szli do miasta. Ilu ich było i poco szli? Każdy odpowie, że 3-ch.

Było ich dwóch, szli po lak do miasta.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 24 stycznia b. r.

Pszenica	25·50—26·00	Słoma długa	5·25—5·75
Żyto .	16·75—17·25	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	12·50—13·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	15·00—15·50		
Fasola biała	18·00—21·00	Mąka żytnia	27·75—28·25
Groch zwyk.	24·00—27·00	Mąka pszen.	53·50—56·50
Siano słodk.	7·50—8·00	Otręby pszen.	8·50—9·00
Łubin żółty	12·00—12·50	Otręby żytnie	8·50—9·00
Koniczpastew.	8·50—9·50	Mąka czerw.	12·00—13·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 24 stycznia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałowniki	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·40 do 1·50

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Okazja na zimę!

Kożuchy po najniższej cenie do wysprzedaży t. j. **saka damskie i męskie** z rękawami i bez rękawów po 45 zł., **kamizelki kożuszane** farbowane i niefarbowane po 25 zł., różny gatunek **kożuszków.** Robota ręczna solidna. Wysyła się na zamówienie i po jednej sztuce za zaliczką. Pocztę opłaca kupujący.

Wielka Wytwórnia Kożuchów Jędrzeja Glińskiego w Starym Sączu.

Dr. med. Stanisław Breyer,

Kraków, ul. Wolska 36,
leczy środkami przyrodniczemi (zioła, homeopatja, djeta i t. p.)

Do nabycia w Administracji „Roli“:

„FLIRT POLSKI“
nowe karty do gry towarzyskiej z numerami są najpiękniejszą i najwdzięczniejszą zabawą towarzyską. 40 kart z pouczeniem w futerale **Zł. 1.15.**

LISTOWNIK DLA ZAKOCHANYCH
czyli podręcznik do pisania **listów miłosnych,** oświadczynowych, w sprawach małżeńskich oraz pięknych wierszyków na pocztówki. **Zł. 1.25.**

ŚPIEWNIK MIŁOSNY
zawiera: Pieśni i Piosenki miłosne, Weselne, Krakowiaki, Arje oper, Śpiewy i śpiewki ludowe, o miłości i kochaniu itp. w objętości 128 str. **Zł. 1.25.**

ZBIÓR POWINSZOWAŃ
na imieniny, zaślubiny, Boże Narodzenie, Nowy Rok, oraz zbiór **Poezyj do Pamiętnika,** zastosowany dla dzieci, młodzieży i dorosłych, w objętości 128 stron **Zł. 1.25.**

WIELKI ILUSTROWANY
Sennik egipski
zaczerpnięty ze starych egipsko - arabskich dokumentów.
Zawiera **2.500 wykładów snów** w alfabetycznym porządku, **90 rycin** ilustrujących sny, przewidzenia i zjawiska, **38 rycin kabały** słynnej wróżki Lenormand z Paryża. Objaśnienia o snach, przewidzeniach, wyroczniach, znaczeniach i zjawiskach. **Artonancje, czyli sztuka wróżenia z kart,** z ręki, palca i czoła.
Powyższy sennik wraz z opłatą pocztową **1.65 Zł.**
Za zaliczką nie wysyłamy. Po zawiadomieniu wysyłamy czek.

WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ
dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem

366 obiadów

ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera ta sama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce z przesyłką Zł. 3.50. Na przesyłkę poleconą dołączyć 50 groszy. **Do nabycia w Adm. „Roli“.**

„Jarska Kuchnia witaminowa“ Janiny Breyerowej z wstępem: **„Jak się odżywiać należy“ — do nabycia** w Administr. „Roli“. Cena z przesyłką pocztową 4 zł.

Dra med. St. Breyera:
„Leczenie syntetyczne wszelkich chorób przewlekłych“ mieszankami ziołowemi. — Do nabycia w Administracji „Roli“. Cena 3 zł. z przesyłką pocztową.

Poszukuje się w ruchliwej okolicy dobrego fachowca z gotówką do założenia piekarni. Zgłoszenia do Administracji »Roli«.

Pszczelarz Polski i Ogród

Niezależny ilustrowany miesięcznik
pod redakcją **Stanisława Brzósko**
Zapewnia zwiększenie dochodu z pasieki i ogrodu. Udziela porad we wszystkich sprawach dotyczących prowadzenia pasieki i ogrodu użytkowego.
Numery okazowe wysyła się po otrzymaniu znaczka 30-groszowego. Wszyscy co opłacą całoroczną prenumeratę (10 zł.) do 1. I. 1933 r. otrzymają upominki z nasion kwiatowych. Ci zaś co wniosą całą należność przed 1. III. 1933 r. wezmą udział w losowaniu 100 egz. dzieła pszczelniczego O. Czyńki.
Adres Redakcji: Pszczelarz Polski p. Łomianki p/Warszawą. — Administracja: Warszawa, Złota 4. Tel. 66-238. Konto P. K. O. 21.625.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: **Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120. Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1.30 zł.**

Bandażysta!

Specjalny. Fachowiec od lat 40
A. M. MIRKIEWICZ
Kraków, Mostowa L. 4.
Poleca bandaże przepuklinowe własnych ulepszeń bardzo praktyczne i wygodne w noszeniu. Również pasy bez sprężyn nowych systemów. Pasy brzuszne oraz pooperacyjne itp. Dla dzieci nowość niebywała bardzo skuteczna. Wykonuję pod gwarancją.
Praktyczne wyjaśnienia listowne. (Na odpowiedź znaczek). Ostrzega się przed blagierami niefachowymi, którzy narażają na różne przykrości itp.

Jedyny najstarszy i najtańszy w Polsce



Ignacy Cypres
Kraków, ul. Szewska L. 13 Rol.
wysyła mandoliny włoskie po 19 do 30 zł., skrzypce szkolne ze smyczkiem 19 zł., Harmonje z wysówkami 25 zł., wiedeńskie 1-rzędowe 35 zł., dwurzędowe 50 zł., klarnety 8 klap. 32 zł., 10 klap. 40 zł., 12 klap. 45 zł. Niklowy „Gre Roskop“ patent z łańcuszkiem 9 zł., niklowy płaski zegarek słyn. marki Enigna 20 zł., brzytwy po 8 i 10 zł., maszynki do włosów 8 i 10 złotych. Wysyłka pobraniem. Cennik ilustrowany zegarków i instrumentów muzycznych darmo i opłatnie.